ANATOMIA „BUNTU” str. 8,9

to było moje największe zwycięstwo str. 10

DWIE KOBIETY I PREZES str. 7

GORĄCZKA ŻŁOTA str. 6

ODGŁOSY

ROK XIX NR 9 (951) 26 LUTEGO 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Po raz ósmy ogłosiliśmy pod koniec ubiegłego roku plebiscyt: ŁODZIANIE ROKU. W bieżącym numerze publikujemy na drugiej stronie rozstrzygnięcie tego plebiscytu.

Również na drugiej stronie Czytelnicy znajdą refleksje Jerzego Wawrzaka na temat: „SZTUKA I ŻYCIE”.

Nie tylko ekonomistom i działaczom gospodarczym polecamy artykuł Józefa Penca pt. „WĘDRUJĄCY” PRACOWNICY. Autor do problemu fluktuacji podchodzi nie tylko z punktu widzenia interesów przedsiębiorstwa, ale też zainteresowanych czyli „wędrujących” pracowników, całej gospodarki, jak i z punktu widzenia interesów miasta.

Jacek Indelak i Zofia Tarnowska prezentują w reportażach dwa różne konflikty. Jacek Indelak w ANATOMII „BUNTU” pokazuje anachroniczne podłoże „niechęci” wobec dyrektora, a Zofia Tarnowska „niechęć” prezesa wobec dwu odważnych kobiet, którym nie podobał się bałagan i niegospodarność.

Andrzej Makowiecki wybrał się w reporterską podróż do Sochaczewa i napisał donos z tego miasta. Jest w nim kilka smakowitych „kawałków”, ale nie do wszystkich spraw — jak to zwykle bywa w donosach — należy podchodzić ze śmiertelną powagą.

Na kolumnie literackiej tym razem proza Janusza Skoszkiewicza KWIAT W CELOFANIE.

O twórczości Wacława Kondka pisze Stefan Kubicki w artykule DUCHY Z LUDZKIMI CECHAMI. Natomiast Janusz Mendychowski w fotoreportażu prezentuje Henryka Czyża w czasie dyrygowania orkiestrą Filharmonii Łódzkiej. Tytuł fotoreportażu „NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY” czyli HENRYK CZYŻ DYRYGUJE służy za cały komentarz.

A poza tym w numerze, jak zwykle — listy od Czytelników, felietony, MAGAZYN.

REPORTAŻ

ANDRZEJ MAKOWIECKI

POTRZEBA BODŹCÓW CZYLI DONOS Z SOCHACZEWA

W czasie wojny i po wojnie nie brakowało tu rozmaitych dramatów, ale potem zapadła cisza: żadnych morderstw, afer i gwałtów, ani jednego prawdziwego skandalu, który obniósłby miasto po gazetach. Dobrze to, czy źle? Bo ja wiem? Jak się o mieście nie mówi, to tak, jakby go w ogóle nie było. A przecież jest. I to wcale nie takie małe. I prawie w samym środku Polski.

Więc kto tam żyje? Same anioły? Facet, który zna Mazowsze od podszewki, krzywi się, jak cierpiący na niestrawność wdowiec i daje mi antyradę:

— Nic tam ciekawego nie wygrzebiesz. Ot, dwa duże zakłady, jeden mniejszy, kościół, trochę nowych bloków, parę kawiarń i knajp, stadion, hala sportowa, naród grzeczny, układny, nie na twój temperament to wszystko.

Dalszy ciąg na str. 5

PORTRETY

„NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY” CZYLI: HENRYK CZYŻ DYRYGUJE

Patrz str. 14

ZATRUDNIENIE

„Wędrujący” pracownicy

Wyczerpujące się rezerwy siły roboczej z jednej strony — z drugiej rosnąca rola kwalifikacji i wykształcenia w procesach produkcyjnych, sprawiać będą, że ludzie stawać się będą coraz cenniejszym elementem sił wytwórczych. Rosnący koszt wykorzystania wiedzy i kwalifikacji ludzi w procesach wytwórczych skłaniać więc będzie do przechodzenia do wyższej fazy gospodarowania kadrami, tj. do stosowania zatrudnienia racjonalnego. Zakłada ono pełne i prawidłowe rozmieszczenie kadr, a zarazem takie ich zatrudnianie, które odpowiadałoby kwalifikacjom, umiejętnościom, wiedzy, talentom i aspiracjom ludzi oraz spełniałoby postulat tworzenia warunków niezbędnych dla zachowania ludzkiego zdrowia i pełnowartościowej zdolności do pracy.

Dalszy ciąg na str. 3

ZA TYDZIEŃ

...rozpoczynamy w „Odgłosach" relacjonować książkę amerykańskiego specjalisty od budowy rakiet, **Josefa F. Blumricha.** Chcąc udowodnić Erichowi von Dänikenowi, że ten się myli w swoich hipotezach J. F. Blumrich przestudiował proroctwa Ezechyjela i doszedł do zupełnie innego wniosku. Wszystko to opisał w książce **„The Spaceships of Ezekiel". Bogdan Krakowian** książkę tę przetłumaczył i będzie ją relacjonował dla Czytelników „Odgłosów". Tytuł pierwszego odcinka — **„Naoczny świadek".**

A poza tym:

— **Krzysztof Pogorzelec** — „Ilu nas do pieczenia chleba",

— **Jan Bąbiński** — „Śmierci auta nie będzie",

— **Tadeusz Chróścielewski** — „Prezes",

— a z okazji 8 marca wiersze dla kobiet napisali: **Rafał Orlewski i Bogusław Sikorski.**

ŁODZIANIE–75

ROZSTRZYGNIĘCIE PLEBISCYTU

W świątecznym numerze (51, 52) „Odgłosów" z ubiegłego roku już po raz ósmy przedstawiliśmy dziesięciu kandydatów do tytułu ŁODZIANIN ROKU.

Do tego tytułu w 1975 roku kandydowali:

Ryszard Binkowski – pisarz, reporter,

Zenon Hodor – skrzypek, koncertmistrz Filharmonii Łódzkiej,

Leszek Jezierski – trener drużyny piłkarskiej RTS Widzew,

Kazimierz Karpiński – artysta plastyk, twórca Pomnika Czynu Rewolucyjnego na Zdrowiu i monumentalnej ściany frontowej Muzeum Martyrologii w Radogoszczu,

Zbigniew Kuchowicz – historyk, pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego, autor wielu publikacji,

Ewa Mirowska – aktorka Teatru im. Stefana Jaracza,

Olga Olgina – pedagog Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, wychowawca wielu wybitnych solistów,

Antoni Szram – historyk sztuki, autor publikacji związanych z przeszłością Łodzi,

Janina Szydlecka – działacz polityczny, I sekretarz KZ PZPR w Przędzalni Czesankowej im. Gwardii Ludowej,

Ewa Wycichowska – solistka baletu Teatru Wielkiego w Łodzi.

Spośród tej dziesiątki Czytelnicy „Odgłosów" wybrali **„ŁODZIAN 1975 R."** Z wyboru Czytelników **ŁODZIANAMI – 75** zostali:

– **OLGA OLGINA** – profesor PWSM w Łodzi,

– **JANINA SZYDLECKA** – I sekretarz KZ PZPR w Przędzalni Czesankowej im. Gwardii Ludowej,

– **LESZEK JEZIERSKI** – trener drużyny piłkarskiej RTS Widzew.

Tradycyjnie już zwycięzcy w naszym plebiscycie otrzymują pamiątkowe talerze z herbem Łodzi. O terminie wręczenia wyróżnień, jak również nagród, które zostały rozlosowane wśród Czytelników biorących udział w plebiscycie powiadomimy osobno.

W najbliższym czasie opublikujemy listę Czytelników, którzy wylosowali nagrody.

TELEWIZJA

PROPOZYCJE PROGRAMOWE

CZWARTEK, 26.II — program I:

18,25 „HASIOR W STUDIO" — reportaż filmowy Grzegorza Dubowskiego przypomni jak powstał z udziałem artysty pierwszy program z cyklu „SAM NA SAM". Zaprezentuje również najnowsze prace Hasiora.

18,40 „PREDOM-MESKO" w Skarżysku Kamiennej jest jednym z największych przedsiębiorstw przemysłowych w woj. kieleckim. Jego drogę do sukcesu zaprezentuje cykl publicystyczny „ANATOMIA SUKCESU".

20,30 Telekino wyświetli włosko-angielski dramat sensacyjny pt. „ZŁOTO LONDYNU", w reżyserii Billy Moore'a.

22,15 Naczelna Redakcja Publicystyki Kulturalnej zaprasza do „STUDIA z PEGAZEM" (kolor).

Program II:

17,30 W Polskiej Żegludze Morskiej pracuje wiele kobiet. O nich właśnie mówi reportaż Władysława Daniszewskiego pt. „KOBIETY MORZA".

21,20 II Symfonię Arama Chaczaturiana grać będzie Wielka Orkiestra Symfoniczna PR i TV w Katowicach pod dyrekcją syna kompozytora — Emina Chaczaturiana.

PIĄTEK, 27.II — program I:

21,00 DROGOWSKAZY — publicystyczny magazyn tygodnia.

21,45 W cyklu Janusza Cegiełły „ŻYWOTY INSTRUMENTÓW" obejrzymy efektowne widowisko z udziałem trąbek, puzonów i tub, zwanych popularnie „blachą". Stąd wywodzi się tytuł programu: „BLACHA TO BRZMI DUMNIE". Kierownictwo muzyczne — Stanisław Gałoński.

Program II:

20,25 Spotkanie z Aleksandrem Bardinim.

21,45 Projekcja bułgarskiego dramatu obyczajowego pt. „BABIE LATO". Film reżyseruje Milen Mikołow.

SOBOTA, 22.II — program I:

18,10 W popularnym, widowiskowym cyklu „WSZYSTKO ZA WSZYSTKO" wystąpi przed kamerami dyr. Jerzy Porowski z łódzkiego Zjednoczenia Przemysłu Odzieżowego.

20,20 Kinomani obejrzą świetną francuską komedię, zatytułowaną „PARYSKI WŁÓCZĘGA". Film reżyserował Gilles Grangier, w roli tytułowej Jean Gabin.

22,10 Wieczorna propozycja rozrywkowa — tv kabaret satyryczny „WINDA", pełen nowych pomysłów i humoru sytuacyjnego (kolor).

Program II:

14,15—21,40 Zachęca do obejrzenia PANORAMY FILMU RADZIECKIEGO. Będzie to specjalny blok filmowy, obrazujący historyczny rozwój i osiągnięcia kinematografii ZSRR. Gospodarzem programu jest znany krytyk filmowy i wykładowca, prof. Aleksander Jackiewicz. PANORAMĘ rozpoczyna Stare Kino — a w nim „Wielkie sceny z wielkich filmów". Ostatnim filmem będzie „ANNA KARENINA".

NIEDZIELA, 29.II — program I:

10,40 W cyklu: „PASJA — PRZYGODA — RYZYKO" — program filmowy zatytułowany „W GÓRACH I DOLINACH ETIOPII".

12,20 „NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY..." czyli II program popularnego dyrygenta i świetnego gawędziarza — Henryka Czyża, wprowadzający słuchaczy w arkana sztuki kompozytorskiej.

14,10 „RADZIECKA KAMCZATKA" — interesujący reportaż filmowy o tym egzotycznym regionie ZSRR.

14,40 i 21,15 Publicystyczny turniej — BANK 440, widowisko w którym spotkają się reprezentacje: Limanowej i Skoczowa (kolor).

20,30 „DOBRY WIECZÓR — TU ŁÓDŹ". W znanej rewii, realizowanej na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi, wystąpią gwiazdy estrady oraz popularne zespoły. Reżyseruje Jerzy Woźniak, choreografia — Janiny Niesobskiej.

Program II:

14,00—23,15 Zaprasza na dalszy ciąg PANORAMY FILMU RADZIECKIEGO. Inauguruje ją film dziecięcy „CZARODZIEJSKI KWIAT". A kończy — film dok. „MOSKWA DZIŚ". (m. in. „BALLADA O ŻOŁNIERZU" — 20,15).

PONIEDZIAŁEK 1.III — program I:

20,25 Teatr TV wystawi „TERESĘ RAQUIN" według Emila Zoli (1840—1902). Autorem tv adaptacji i jednocześnie reżyserem spektaklu jest Antoni Halor. Przypomnijmy, że akcja dzieje się w środowisku francuskich mieszczan u schyłku XIX wieku. Grają m. in.: Wiesława Mazurkiewicz, Zofia Saretok, Anna Dymna i Marek Bargiełowski.

Program II:

21,25 Z Mają Komorowską i Krzysztofem Zanussim o „BILANSIE KWARTALNYM".

WTOREK, 2.III — program I:

18,00 W cyklu popularno-naukowym: „FAKTY — OPINIE — HIPOTEZY" — program Wandy Konarzewskiej pt. „TAJEMNICE SŁOWIAŃSKIEJ ANTARKTYDY".

18,25 „SAMI O SOBIE" — reporterska relacja z wizyty dziennikarzy w łódzkich zakładach „FENIKS".

21,30 INTERSTUDIO podejmuje problematykę kobiecą. Kilka interesujących tematów krajowych i zagranicznych (kolor).

Program II:

16,55 Reportaż o życiu i twórczości Józefa Gielniaka, malarza i grafika z Kowar.

21,35 W cyklu popularyzatorskim „OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA" Zofii Haloty wystąpią laureaci konkursu na najlepszego użytkownika obiektu zabytkowego.

ŚRODA, 3.III — program I:

17,30 Transmisja z ćwierćfinału Pucharu UEFA w piłce nożnej. mecz: HAMBURGER SV — STAL MIELEC (kolor).

20,25 Kino Interesujących Filmów wyświetli radziecki dramat psychologiczny pt. „DZIWNI DOROŚLI".

21,40 Mistrzostwa Świata w jeździe figurowej na lodzie w Goeteborgu (kolor).

Program II:

18,00 Projekcja filmu TV CSRS o tematyce współczesnej pt. „POWRÓT PANA RYSZANKA". Ekranizacja opowiadania Jana Nerudy.

OBSERWACJE

JERZY WAWRZAK

SZTUKA i ŻYCIE

* * *

Dobrze się ostatnio wiedzie łódzkim pisarzom. Przyjemnie o tym wspomnieć, bo w literaturze, może bardziej niż w innych gatunkach sztuki, trzeba swoją obecność potwierdzać i przypominać. Książka, choćby największa wydana przed laty jest tylko dziełem przypisanym do swojego czasu. Tak jest i tak być musi. Dlatego się pisze, staje do tego nie kończącego się wyścigu z samym sobą. Tak robi m.in. Wacław Biliński. W zeszłym numerze drukowaliśmy fragment („Targi") jego powieści nagrodzonej przez „Książkę i Wiedzę". Niedawno doszła nas wieść o zdobyciu przez Bilińskiego I nagrody na konkursie szczecińskim. Cieszy zwłaszcza, kiedy o naszych artystach głośno za granicą: muzykach, plastykach, o przedstawieniach teatralnych, premierach filmowych. Do tych świąt sztuki zaliczyłbym także przekłady książek, chociaż fakty te czynią mniejsze wrażenie. Ostatnio miałem okazję przejrzeć powieść Wiesława Jażdżyńskiego „W ostatniej godzinie", która ukazała się w moskiewskim wydawnictwie, z ilustracjami (u nas nie ma tego zwyczaju) w nakładzie 60 tys. egzemplarzy (!). Cieszy sam fakt i duży nakład, to sześć naszych podstawowych nakładów.

Inne przykłady przy następnej okazji.

* * *

Na pokazie filmu „Rodzina" w ŁDK. (Przy okazji gratulacje dla ŁDK za nagrodę „Ekranu") Krzysztof Wojciechowski prezentuje swój drugi film, po „Kochajmy się", który zdobył wiele nagród, ale nie zdobył wielu widzów. Wojciechowski płaci tym za swoją oryginalność, za całą swoją artystyczną koncepcję. Wzbudza szacunek ten skromny, poważny młodzieniec swoim uporem. W rozmowie przy cienkim winku prorokuje, że kiedyś mu to zapisywanie życia na gorąco nie wystarczy, że pogodzi się z literaturą, sztuką kreatywną od początku do końca. Prawdę o życiu i człowieku można rozmaicie wyrażać. Częściej jednak powołana do życia przez twórcę rzeczywistość artystyczna jest pełniejszym przekazem od odtworzonej dokładnie rzeczywistości „rzeczywistej". Wojciechowski upiera się, że nie zrezygnuje z tej drogi. Zobaczymy. Nie mam jednak zamiaru, jak z przejęciem czyniła to pewna panienka na owym spotkaniu, tłumaczyć Wojciechowskiemu, co on właściwie robi. Och, ci kibice — krytycy. Jak zawsze chcą być mądrzejsi od autora, wiedzieć wszystko do końca i pogrzebać każde zjawisko swoją erudycją. Fakt najważniejszy: Wojciechowski jest zjawiskiem w naszej kinematografii, taką wysepką inności. To bardzo dobrze i nie trzeba jej anektować. Zapisuje nasz czas bez gryzącej ironii, w której tak się lubuje wielu artystów. Czyni to z sercem, rodzajem uczciwej pokory i chyba optymizmu. Oby jak najwięcej widzów chciało mu zaufać i zaryzykować trud, bez którego nie może być porozumienia, tylko zabawa.

Drugi film Wojciechowskiego jest jednocześnie pierwszym „Profilu", łódzkiego Zespołu Filmowego. Przed pokazem kierownik artystyczny, Bohdan Poręba mówił o filmach tego zespołu będących akturalnie w produkcji. Na sześć bodajże, sześć o tematyce współczesnej. Dobry to prognostyk. Jakiś pokrzepiający przykład, że głosy widzów i krytyków nie idą pod niebiosy. Trzymajmy kciuki za te filmy, bo będą one wizytówką Zespołu, o który tutaj w Łodzi tak długo wojowaliśmy.

* * *

Miało tu być o Szwejku, o tytułowej roli Kłosowskiego, który po objęciu Teatru Powszechnego przedstawił się już naszej publiczności jako reżyser („Turonia"). Jednak premiery prasowe są później. To jakiś dziwny zwyczaj. Chyba nie najlepszy, chociaż staram się rozumieć teatry: chcą jeszcze sztukę doszlifować, to i owo podciągnąć. Ale, kochani, jeśli pokazujecie swe dzieło publiczności, nie bójcie się sądu krytyków.

* * *

Moja dziesięcioletnia córka Kasia pisze opowiadania, których bohaterami są różne zwierzątka. Jest to rodzaj jakiejś rekompensaty za to, że matka nie pozwala założyć w domu filii ZOO. W każdym razie dziecko pisze, trochę zażenowane swoim dziwnym zajęciem.

Czasami z przyjaciółmi rozmawiamy o przyszłości dzieci. Poważnie i żartobliwie. Zawsze wtedy wykrzykuję: oby tylko nie zostało jakimś artystą! To oczywisty przykład ojcowskiego egoizmu, który chciałby dziecku nieba przychylić, a nie narażać go na życie wypełnione frustracjami, wiecznymi niepokojami i rzadko spełnionymi nadziejami. Nie wiem, co sądzą o tym inni ojcowie. Ale jeśli nawet podobnie, to mało skuteczne jest takie stanowisko. Przykładów aż za wiele. Weźmy kilka z naszego podwórka. Latorośle aktorów Fogla, Mikucia, Rogackiego — już na scenie, wiersze piszą: syn reżysera Perza, aktora Zdrojewskiego, córka muzyka Kiesewettera; nie wspominając już o całej literackiej rodzinie Chróścielewskich i innych przykładach przekazywania pałeczki — pióra z jednego literackiego pokolenia na drugie. (Rymkiewicz, Kononowicz).

* * *

Tytuł tych w zamyśle dość osobistych zwierzeń zobowiązuje: trzeba coś o życiu. Wpadła przyjaciółka na herbatę. Przy okazji chwali się zakupami. Kupiła coś z plastyku, co domownicy nazywają „zmiotką", chyba niezbyt poprawnie. Ten skomplikowany przedmiot przylega nawet do podłogi (jest równy w odróżnieniu od demonstrowanego w telewizyjnych „Drogowskazach"), ale producent: Gliwickie Zakłady Przemysłu Terenowego ostrzega, cytuję: „Wyrób nie może bezpośrednio kontaktować się z żywnością". Oj, panowie, wprawiliście mnie w zakłopotanie: jesteście bliżej życia czy sztuki?

Skoro wspomniałem o telemagazynie „Drogowskazy" prowadzone w ostatni piątek przez red. Bindera z ŁOT. Właśnie Binder w krótkim filmiku z łódzkiego „Centralu" pokazał jąk trzeba p o k a z y w a ć rezerwy. Trafił na swojego (to też dziennikarska sztuka) czyli dyrektora Lecha Sosnowskiego, który wie jak szukać rezerw nie tak zupełnie prostych. Przed rokiem chyba zamieściliśmy na całą kolumnę rozmowę z Sosnowskim, ale przyznam się, że ta ostatnia rozmowa zarejestrowana przez Bindera wzbudziła we mnie większe zaufanie do szefa „Centralu". W sumie wzorcowy przykład dla dyrektorów i dziennikarzy: jak szukać rezerw i to szukanie propagować.

* * *

Na III Plenum KC PZPR zabrała głos Janina Szydlecka, (nb. nasza udana kandydatka do tytułu „Łodzianina 1975"), członkini KC, I sekretarz KZ w Przędzalni Czesankowej im. Gwardii Ludowej w Łodzi. Myślę, że nie grzecznościowo powiedziała o „publikatorach": „Prasa, radio, tv tworzą dobry klimat dla rzetelnej pracy, pokazują ludzi pracy, ich wysiłek i osiągnięcia. Wyrażone na łamach prasy, w radiu czy w telewizji uznanie dla prządki czy tkaczki ma dla nich duże znaczenie". To ważne przypomnienie dla tych, co z kamerą, mikrofonem, notesem szukają po fabrykach i instytucjach bohaterów codzienności. Chociaż może warto dodać słowo. (Mówiliśmy o tym w ostatnim telewizyjnym „Obiektywie" ze Sławojem Nowakiem), żeby te prezentacje wzbogacać o sprawy trudne, nie pomijać komplikacji towarzyszących z naturą rzeczy powstawaniu n o w e g o. I nie chodzi mi tu tylko o zasadę, ale realne korzyści. Ranga naszego trudu rośnie wtedy także.

BOSKIE I CESARSKIE

Ślepa zachłanność filmu wobec literatury osiąga niekiedy punkt krytyczny. Ostatnio ofiarą adaptacyjnego eksperymentu padła znana powieść Teodora Parnickiego „Tylko Beatrycze". Podjęcie tej próby musi budzić dały szereg zdziwień, a ich oczywiste źródło tkwi w literaturze tworzonej od lat z niezwykłą konsekwencją przez autora „Nowej baśni". „Tylko Beatrycze" jest powieścią, która już zdążyła utrwalić sobie w bogatej skali twórczości pisarza rangę klasyczną, pozycję utworu ogniskującego w swoich ramach w sposób wzorcowy podstawowe motywy i tematy tego pisarstwa, a także jego jedyne w swoim rodzaju cechy konstrukcyjne. „Beatrycze" nie wchodzi w skład wielkich, kilkutomowych cykli, w jakich rozwija się ta twórczość, ale jest powieścią niejako satelitarną wobec „Nowej baśni", co sam pisarz podkreśla — rzecz unikalna — w przypisach pod tekstem zasadniczym. Jest więc „Beatrycze" istotnym korytarzem tego gigantycznego labiryntu, bo tak krytyka określa tę kuriozalną twórczość, i próba wyrwania dla celów filmowych jednej jego części z rozległego kontekstu musi budzić protest choćby tylko formalny.

To po pierwsze. Ale z tym zastrzeżeniem jeszcze pół biedy, bo przecież — powie ktoś — „Trylogię" też zaczęto u nas adaptować od końca. Przykład ten prowadzi nas do kwestii znacznie istotniejszej, która sprawia, że proza Parnickiego jest zjawiskiem praktycznie nieprzekładalnym na inny język artystyczny. Parnicki z pełną świadomością podjął problematykę historyczną w sposób krańcowo polemiczny wobec tradycji sienkiewiczowskiej. Malowniczej wizji historii „ku pokrzepieniu serc" pełnej zdarzeniowej bujności i stylistycznego wigoru przeciwstawił prozę ascetyczną, hermetyczną, refleksyjną. Stąd też dla amatorów potoczystych fabuł tego gatunku wynika ogromna trudność przy lekturze Parnickiego, który czytania nie ułatwia, lecz, przeciwnie, trudności piętrzy, przebieg akcji wikła w skomplikowane węzły czasu i każe brnąć cierpliwemu czytelnikowi przez wielostronicowe dysputy swoich bohaterów. Epicki model jego powieści wiele zawdzięcza awangardowym dokonaniem „nouveau roman", gdzie zdarzenie staje się mniej istotne od jego wszechstronnej interpretacji, co powoduje, iż utwór staje się pasjonującym niekiedy zapisem poznawczego procesu. Pisarz odbija się od trampoliny faktów historycznych, aby poszybować w regiony historiozoficznego dyskursu. Ten typ relacji ostentacyjnie wyzbytej pierwiastków obrazowych jest z gruntu afilmowy.

Z afilmowością Parnickiego łączy się najściślej sprawa jego literackości. Czyli tych chwytów narracyjnych, które polegają na powierzaniu ciężaru dyskursu dialogowi protagonistów, dokumentom wtapianym w tkankę powieści czy też zapisowi sporządzanemu przez bohatera, który jest najczęściej intlektualistą i człowiekiem pióra. Całe to instrumentarium służy celowej ekspozycji „literackości" dzieła, tworzy skomplikowaną grę myślową toczącą się wokół powstawania tego dzieła. I właśnie ten najgłębiej skryty, ale jednocześnie najistotniejszy sens twórczości Parnickiego, szczególnie widoczny w utworach ostatnich, jest absolutnie nieprzekładalny. Bowiem tutaj otwiera się sfera, w której literatura jest tylko i aż literaturą i niczym więcej.

Otóż te wszystkie cechy strukturalne są widoczne w „Beatrycze" jak na dłoni. Dlatego też zamiar adaptacji tej powieści był pomysłem karkołomnym. Zrodził się zeń film z pozoru niezwykle wierny wobec litery tekstu, pomijając liczne, konieczne skróty, recytujący jak za panią matką jego narracyjne meandry, ale absolutnie głuchy na jego istotę. To, co w powieści domagało się lektury pełnej namysłu, uważnej i wrażliwej na misterne wiązania tekstu, w filmowej adaptacji ugrzęzło, gdyż ugrzęznąć musiało w bałaganie wątków i postaci. To, co na kartach książki w frapujący sposób obrazowało Edypowy archetyp, na ekranie telewizyjnym było nudną i pretensjonalną gadaniną. Z tym właśnie wrażeniem wyłączamy telewizor, zachowując w pamięci jedynie interesującą rolę Stanisława Igara w roli papieża i garść obrazów chwilami sugestywnie oddających historyczny koloryt.

Filmowa „Beatrycze" potwierdza zatem biblijny imperatyw o boskich i cesarskich przynależnościach. Ale po to, aby na przykładzie Parnickiego go udowodnić nie należało realizować tego ekscentrycznego pomysłu. Wystarczyłaby odrobina krytycznej wyobraźni.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji).
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

ZATRUDNIENIE

Dalszy ciąg ze str. 1

„WĘDRUJĄCY" PRACOWNICY

I

Dotychczasowy, ekstensywny sposób wykorzystywania kadr jest mało efektywny i kryje w sobie ogromne rezerwy wzrostu społecznej wydajności pracy. Rezerwy tkwią zwłaszcza w niewykorzystanym czasie pracy, nadmiernej fluktuacji załóg oraz w stosunkowo niskich kwalifikacjach pracowników jak również w niewłaściwym wykorzystaniu kadr wysokokwalifikowanych.

Wśród tych rezerw poważną pozycję zajmuje fluktuacja kadr. Ponoszone w jej wyniku straty w takich rozmiarach jak to sugerują różne zestawienia statystyczne w wyjątkowo niekorzystnym świetle stawiają naszą politykę zatrudnienia. Wielkość tych strat uwidacznia się zwłaszcza w odniesieniu do gospodarki regionu czy gałęzi produkcji.

Straty z tego tytułu są szczególnie wysokie w gospodarce łódzkiej, gdzie silnie występuje zjawisko płynności kadr. O jego rozmiarach może świadczyć liczba zwolnień i przyjęć **w latach 1973—1974.** Liczba pracowników przyjętych do pracy w mieście wyniosła **w 1974 roku 103,3** tys. osób (w 1973 roku — 116 tys. tj. spadek o 9,5 proc.), a liczba pracowników **zwolnionych wyniosła 94,9 tys. osób** (w 1973 roku — 107,5 tys. tj. spadek o 8,3 proc.) **Współczynnik przyjęć** (bez kobiet powracających z urlopów bezpłatnych) wyniósł 24,9 proc. a współczynnik zwolnień 22,8 proc. **Współczynnik płynności** (mniejszy ze współczynników przyjęć i zwolnień) wyniósł więc 22,8 proc.

Wśród gałęzi gospodarki łódzkiej najmniejszą stabilizacją kadr odznacza się **budownictwo,** gdzie w ciągu roku ponad trzecia część załogi zmienia pracę. I jakkolwiek płynność wykazuje tutaj znaczny spadek procentowy, to jednak w liczbach bezwzględnych jest ona bardzo wysoka i wynosi średnio 7—7,5 tys. **„wędrujących pracowników".** Podobnie wysoka jest płynność załóg w handlu i gospodarce komunalnej, gdzie średnio w roku zmienia pracę ponad 25 proc. pracowników. Nieco mniejsze rozmiary przybiera to zjawisko w przemyśle, ale jest ono bardziej szkodliwe niż w innych gałęziach gospodarki miasta. Przemysł ze względu na charakter produkcji i jej organizację wymaga wysokiej stabilizacji kadr. Tymczasem właśnie tutaj średnio w ciągu roku zmienia pracę aż 20—25 proc., a w niektórych dziedzinach nawet 30 proc. robotników. **„Wędrują"** przede wszystkim ludzie młodzi, głównie mężczyźni, wykonujący pracę nie wymagającą większych kwalifikacji, na których ponadto istnieje duże zapotrzebowanie społeczne z uwagi na deficyt męskiej siły roboczej. Wielu pracowników samowolnie porzuca pracę. Badania przeprowadzone w ośmiu łódzkich przedsiębiorstwach wykazały, że w okresie ostatnich pięciu lat średnio 20 proc. zwolnionych pracowników samowolnie porzucało pracę, a w niektórych przedsiębiorstwach wskaźnik ten kształtował się nawet na o wiele wyższym poziomie. I tak na przykład w 1973 roku w **WZMW „Wifama"** wyniósł on aż 41,6 proc., w **ZPB im. F. Dzierżyńskiego** — 29,1 proc., w **ZPW „Lodex"** — 33,1 proc. ogółu zwolnień. W 1974 roku to szkodliwe zjawisko samowolnych porzuceń pracy nieco zmalało.

Płynność załóg powoduje przede wszystkim wzrost indywidualnych i społecznych kosztów produkcji. Koszty te zależą zarówno do technicznego uzbrojenia stanowiska pracy, rodzaju pracy, kwalifikacji pracownika zmieniającego pracę, a także od okresu jego bezczynności zawodowej. Stanowią one koszt straconych przez społeczeństwo możliwości, koszt zmniejszonej efektywności funkcjonowania systemu ekonomicznego jako całości. Do najważniejszych ich składników można zaliczyć: wydatki związane z rekrutacją, szkoleniem, dodatkami za godziny nadliczbowe z powodu niedoboru zatrudnienia; straty związane z niższą wydajnością pracowników nowo przyjętych (ze względu na brak wprawy), szybszym zużyciem maszyn, narzędzi i materiałów, niższą jakością produkcji, częstszym postojem maszyn, powodowanym brakiem pracowników, lub niedostateczną sprawnością pracowników nowych, obniżeniem akumulacji i rentowności przedsiębiorstwa, dodatkowym obciążeniem nadzoru technicznego z tytułu opieki nad nowo przyjętymi pracownikami, wzrostem wypadkowości, zmniejszoną aktywnością racjonalizatorską, rozbudową aparatu pośrednictwa pracy itp.

Większość „wędrujących" pracowników podejmuje bowiem nową pracę po pewnym okresie bezczynności, trwającym nieraz kilka tygodni a nawet miesięcy, a ponadto korzysta z wolnych dni dla poszukiwania innej pracy. Na przykład w gospodarce łódzkiej w 1973 roku straty czasu roboczego z powodu fluktuacji przy założeniu, że załatwianie formalności związanych z przejściem pracownika do nowego zakładu trwa tylko 3 dni (w rzeczywistości znacznie dłużej) wyniosły aż 265 tysięcy dni, a więc mniej więcej tyle, jakby codziennie nie podejmowało pracy około 850 pracowników.

Nieuzasadniona płynność pracowników, a zwłaszcza samowolne odejścia z pracy są również bardzo niekorzystne ze względów społecznych. Utrudniają one podnoszenie dyscypliny i kultury pracy, obniżają rangę pracy rzetelnej i wydajnej, demobilizująco wpływają na tych pracowników, którzy pracują uczciwie i sumiennie, utrudniają także integrację załóg i kształtowanie poprawnych stosunków międzyludzkich.

II

Przedsiębiorstwo może, wymieniając pracowników, usuwać osoby mało przydatne do pracy, łamiące dyscyplinę pracy (np. alkoholików, chuliganów itp), jak również osoby o ograniczonej zdolności do pracy. Dzięki temu może ono uzyskać znaczną poprawę w zakresie dyscypliny i wykorzystania czasu pracy. Poprzez wymianę kadr może także doskonalić strukturę kwalifikacji załóg, angażować osoby młode, wykształcone, o wysokiej sprawności zawodowej. Również przez przemyślane zwolnienia pracowników może ono likwidować przerosty w zatrudnieniu, zmniejszać osobowe koszty produkcji i doskonalić ich strukturę, co ma istotny wpływ na wzrost wydajności pracy i rentowność zakładu.

Pracownik zmieniając pracę uzyskuje również określone **korzyści,** jak np. wyższe i lepiej płatne stanowisko, poprawę warunków pracy, zadowolenie z wykonywanego zawodu, możność awansu, zwiększenie rozmiarów samodzielności, często poprawę warunków mieszkaniowych, socjalnych, dojazdu do pracy, poprawę społecznej atmosfery pracy itp. Dla wielu pracowników zmiana pracy stanowi często formę realizacji wybranej drogi życiowej. Wielu ludzi bowiem wybiera zawód w sposób przypadkowy, nie planując swej drogi zawodowej zgodnie z posiadanymi zainteresowaniami. Jeśli więc praca nie daje im możliwości „wyżywania się", siłą rzeczy dążą do jej zmiany na taką, która posiada dla nich określone walory kreatywne i umożliwia rozwój osobisty i realizację celów ich służby społecznej.

Tradycyjnie płynność kadr rozpatruje się głównie **jako problem dla kierownictwa zakładów** zainteresowanych w realizacji zadań planowych. Toteż z tego punktu widzenia słuszny jest taki ruch pracowników, który polega na przyjmowaniu pracowników, których zakład chce pozyskać; zwalnianiu tych, których chce się pozbyć i akceptowaniu odejścia tych, których powody odejścia uznaje za słuszne. Wszelki inny zaś ruch pracowników uznaje się za niepożądany i szkodliwy.

Pracownik natomiast traktuje zmianę pracy nie tylko jako określone źródło uzyskania korzyści materialnych (jak np. wyższe wynagrodzenie, poprawa warunków mieszkaniowych), ale często motywuje to potrzebą wykonywania pracy bardziej interesującej, potrzebą większego uznania, sprawiedliwej oceny, poszerzenia samodzielności, lepszej atmosfery pracy itp. Tak więc, jego motywacje wynikają często z dążenia do realizacji szeregu podstawowych potrzeb życiowych, które w jego odczuciu nie zostały zaspokojone w dotychczasowym miejscu pracy.

Inaczej również należy oceniać płynność kadr **z punktu widzenia interesu gospodarki narodowej.** Właśnie, w interesie gospodarki może leżeć nawet pobudzanie i intensyfikowanie ruchu pracowników. Może to na przykład wynikać z niedoboru lub nadwyżek w określonych zawodach i specjalnościach, podejmowania nowych inwestycji na terenach deficytowych pod względem siły roboczej, intensywnej modernizacji, niskiego poziomu kwalifikacji kadr itp. W tym bowiem przypadku płynność pracowników rozpatruje się z punktu widzenia racjonalnej polityki zatrudnienia i w związku z tym to, co może być niekorzystne dla określonego zakładu, może być bardzo korzystne dla gospodarki jako całości.

Podobnie można oceniać fluktuację **z punktu widzenia gospodarki miejskiej.** Może się ona na przykład wiązać z przemieszczaniem ludności w obrębie miasta do nowych osiedli mieszkaniowych lub nowo wybudowanych zakładów pracy. Również potrzeby gospodarki wymagają nieraz przesuwania fachowców do innych zakładów pracy czy instytucji.

W gospodarce łódzkiej straty wynikające z fluktuacji kadr są tak wielkie i niepokojące, iż przesłaniają one niemal zupełnie pozytywne cechy tego zjawiska. Dlatego m. in. nie prowadzi się na szerszą skalę badań nad bilansami korzyści i strat fluktuacji zarówno z punktu widzenia przedsiębiorstw jak i zmieniających pracę pracowników.

Zdecydowana większość działaczy gospodarczych nie zdaje sobie nawet sprawy z wagi tego problemu. Zakłady pracy dokładają wiele starań, aby pozyskać nowych pracowników, natomiast czynią niewiele, by już pozyskanych zatrzymać.

Analiza fluktuacji w gospodarce łódzkiej wskazuje na dużą złożoność uwarunkowań tego zjawiska. Wśród różnych przyczyn, które je wywołują, najczęściej wymienia się następujące:

— łatwość uzyskania pracy w zakładach nowych lub zmodernizowanych, zapewniających lepsze warunki pracy i możność uzyskania wyższych zarobków,

— uciążliwe w wielu zakładach warunki pracy, trudne do zaakceptowania zwłaszcza przez młodych ludzi,

— stosunkowo niska ranga społeczna zawodu włókniarza, zwłaszcza w odczuciu ludzi młodych, poszukujących pracy wysokopłatnej i zapewniającej odpowiedni prestiż społeczny,

— niedostateczna opieka ze strony bezpośrednich przełożonych (mistrzów, brygadzistów) i organizacji społeczno-politycznych i niewłaściwie kształtowane stosunki między ludźmi,

— długie i uciążliwe dojazdy do pracy i trudność zbliżenia miejsca zamieszkania do miejsca pracy ze względu na mało elastyczną politykę zamiany mieszkań.

Zgodnie z nomenklaturą stosowaną w statystyce, struktura zwolnień z pracy w 1974 roku w Łodzi przedstawiała się następująco:

— z inicjatywy zakładu	**— 9,0 proc.**
— na własną prośbę	**— 22,7 proc.**
— przeniesieni służbowo oraz zwolnieni na podstawie porozumienia stron	**— 20,8 proc.**
— samowolnie porzucili pracę	**— 22,4 proc.**
— przeniesieni na emeryturę lub rentę	**— 7,0 proc.**
— zmarli	**— 1,1 proc.**
— kobiety, które otrzymały urlop bezpłatny	**— 4,8 proc.**
— z innych przyczyn	**— 12,2 proc.**

W praktyce, powody dla których pracownik opuszcza zakład mogą być zarówno od niego zależne jak i niezależne. Najczęściej składa się na to wiele nawarstwiających się przyczyn. Toteż trudno jest bez szczegółowych badań obciążać samych pracowników winą za nadmierną fluktuację w gospodarce łódzkiej. Statystyka nie wykazuje i nie jest w stanie wykazać wszystkich powodów odejść z pracy. Wiele powodów, ukrytych pod niewiele mówiącym hasłem **„z inicjatywy zakładu", „na własną prośbę",** itp., posiada często motywy, świadczące o złej polityce zatrudnienia, czy kadrowej zakładu, której pracownik nie może zaakceptować, a nie mając możliwości zmiany — odchodzi.

W kontekście nowej strategii gospodarowania sprawy płynności kadr muszą być bardziej doceniane i uwzględniane w programowaniu i kształtowaniu polityki racjonalnego zatrudnienia. Wiele bowiem przesłanek wskazuje na konieczność ograniczenia tego szkodliwego zjawiska do granic ekonomicznie i społecznie uzasadnionych. Działania w tym zakresie winny mieć charakter kompleksowy, a więc uwzględnić zarówno sytuację w poszczególnych branżach i przedsiębiorstwach jak i potrzeby pracowników.

Foto: Archiwum

Józef Penc — doktor, pracownik naukowy łódzkiego Oddziału Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych.

NIE TYLKO HISTORIA

Z PRZESZŁOŚCI POLSKIEGO PARLAMENTARYZMU

Tradycjami polskiego parlamentaryzmu szczycimy się chętnie: zarówno parlamentaryzmu dawnej Reczypospolitej, jak okresu międzywojennego. Jednak inaczej spoglądamy w przeszłość, kiedy poszukujemy w niej tradycji, inaczej zaś, kiedy chodzi nam o historię. Bo historia, zanim powie, czy było dobrze, czy źle, zanim zaproponuje taki bądź inny sąd oceniający, musi postawić przedtem pytanie: jak to rzeczywiście było. I kiedy udziela na nie odpowiedzi, wówczas często okazuje się, że trudno jest o sąd jednoznaczny, że nie sposób w jednym zdaniu i po prostu orzec, że coś było dobre, bądź złe, bowiem to, co na pierwszy rzut oka zdawało się lśnić wspaniałym blaskiem, przy bliższym rozpoznaniu nieraz ukazuje cienie, zaś to, co chętnie z góry uznalibyśmy za wadliwe, nie zawsze okazuje się nim być w całej rozciągłości. Taka jest właśnie różnica zwracania się w przeszłość, jako do tradycji, od historycznego do niej stosunku.

Andrzej Ajnenkiel w pięknej książce „Parlamentaryzm w II Rzeczypospolitej" (Wiedza Powszechna 1975) spogląda na omawiane przez siebie zjawiska jako historyk. Chodzi mu o udzielenie odpowiedzi na pytanie, jaki był ów polski parlamentaryzm okresu międzywojennego, o przedstawienie go z różnych punktów widzenia, a dopiero na tej podstawie o sformułowanie ogólnego, choć bynajmniej nie jednozdaniowego ogólnego sądu. O tym parlamentaryzmie pisano dotąd wiele i sprzecznie, nie mniej spierając się o jego ocenę niż w ubiegłym stuleciu o pogląd na parlamentaryzm dawnej Polski. Ileż gromkich słów powiedziano o „sejmowładztwie" w okresie przed zamachem majowym? Ile razy narzekano na te bezustanne zmiany rządów, spory, waśnie i kryzysy? Andrzej Ajnenkiel zmierza do wyprostowania i zobiektywizowania tych i innych sądów. Nie jest to zadanie łatwe, nawet dla tak znakomitego znawcy problematyki polityczno-ustrojowej, jak autor. „Przedmajowy parlament — przypomnijmy raz jeszcze jego fizjonomię odbijającą zarówno klasowy charakter ówczesnej Polski jak i daleko posunięty proces jej dyferencjacji politycznej, strukturę narodową — pisze Andrzej Ajnenkiel — istniał zbyt krótko, stracił swe uprawnienia w zbyt dramatycznych okolicznościach, by można było dokonać w pełni zobiektywizowanej jego oceny. Można wszakże zaryzykować twierdzenie, że stanowił organ funkcjonujący, mimo różnorakich przeszkód, dość sprawnie". A więc nie tak, jak głosiła niegdyś prawica, która tak wydatnie przyczyniła się do kryzysu tego parlamentaryzmu.

Ileż tu skomplikowanych problemów...? Bardzo podoba mi się sformułowanie Andrzeja Ajnenkiela o tym, że przewrót majowy wyglądał wówczas, w 1926 r., z bliskiej odległości inaczej niż wygląda dziś, z perspektywy upłynionego półwiecza. Dzisiaj przedstawia się on nam „jako jeden z puczów antyparlamentarnych, jakie nastąpiły w Europie lat międzywojennych, poczynając od marszu Mussoliniego na Rzym". Dla współczesnych zagadnienie nie było ani jasne, ani proste: wystarczy przypomnieć, że prawicowy w swej istocie zamach stanu poparły u nas między innymi... siły lewicy. Miały one co prawda dość szybko zorientować się w nowej sytuacji, ale co prawda, to prawda: nie wiadomo, jak potoczyłyby się wypadki w 1926 r. i później, gdyby lewica nie zajęła takiego właśnie stanowiska. Przewrót został już dokonany, kiedy — już podczas wyborów prezydenckich — KPP zasadniczo zmieniła swój stosunek do Józefa Piłsudskiego i narzuconego przezeń sytemu rządzenia.

„Do maja 1926 roku — pisze Andrzej Ajnenkiel — mimo rozlicznych trudności, Sejm stanowił rzeczywisty centralny organ dyspozycji państwowej w rozumieniu funkcjonalno-ustrojowym, nie zaś klasowym". Historyk dowodzi, że przewrót, który doprowadził do załamania pozycji Sejmu, nie był „koniecznym elementem rozwoju". Wykazuje, przytaczając liczne przykłady, że również parlamentaryzm polski „pod rządami sanacji, gdy ujmujemy je na tle wyraźnego w ówczesnej kapitalistycznej Europie kryzysu demokracji parlamentarnej, prądów i rządów totalitarnych" — „wyjątkowo długo funkcjonował jako ciało, stawiające zdecydowany, jakkolwiek ograniczony do form mu właściwych, opór rządzącemu po dyktatorsku obozowi". I pod tym właśnie względem stosunki w Polsce wyróżniały się w porównaniu z tymi, które istniały w innych krajach kapitalistycznych, w których ukształtowały się autorytatywne formy władzy. Nawet w chwilach drastycznego ograniczenia możliwości działania opozycji, łamania konstytucyjnych norm prawnych przez obóz rządzący, nie zabrakło w ówczesnym Sejmie ludzi „jeśli nie związanych bezpośrednio, to zbliżonych do nurtu, który — jak pokazała przyszłość — zadecydował o dalszych losach państwa i narodu". I to właśnie zasługuje na podkreślenie, kiedy mowa o tych najgorszych chwilach w dziejach polskiego parlamentaryzmu, jakie nastały za rządów sanacji.

„Można też zaryzykować twierdzenie — kończy swe rozważania Andrzej Ajnenkiel — że parlament, jaki był, stanowił dla rządzącego obozu jedną z przeszkód, wcale znaczącą, na drodze do totalizacji kraju". Bowiem z perspektywy czasu i w porównaniu ze zjawiskami i procesami, przebiegającymi współcześnie w innych krajach kapitalistycznych, wypada czasem zweryfikować sądy, formułowane na gorąco.

LEKTOR

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

KWIAT W CELOFANIE

Krystyna patrzy nerwowo na zegarek. Za pięć trzecia. Jeszcze raz sprawdza czy wszystko jest jak należy. Na głowie niebieska czapeczka, na szyi błękitna apaszka, bluzka o granatowym odcieniu. Czy ja na pewno napisałam mu, że będę w granatowej bluzce? Na stoliku przed sobą położyła „Express". Tak, jak napisała. Jeszcze jeden łyk kawy. Ciastko jakoś nie smakuje. Krystyna rozgląda się po sali kawiarni. Ludzie młodzi i niemłodzi. Zajęci własnymi sprawami.

Znów spojrzenie Krystyny na zegarek. Za pół minuty. Już za ćwierć. Będzie chyba punktualny. Jest! Jest? Na sali pojawia się korpulentny mężczyzna. Rozgląda się uważnie. To na pewno on. O Boże! Spraw, żeby ten grubasek w starannie skrojonym garniturze w paski, to nie był on. Niestety, to on. W ręku trzyma „Exspress". W drugiej ręce żółta teczka z plastiku. Wystaje z niej główka czerwonego goździka. W celofanie. Dokładnie tak jak się listownie umówili.

— Przepraszam... to zdaje się... to na pewno pani...

Krystyna patrzy na twarz przybyłego. Nawet sympatyczna. Pod oczami zaznaczają się worki, ale niezbyt duże. Oczy ma jasne, trochę jakby spłowiałe. Włosy na głowie rzadkie. Ale całość nie robi najgorszego wrażenia. Mężczyzna siada przy stoliku. Naprzeciwko Krystyny. Uśmiecha się.

— Pani jest ładna — mówi i odsłania nieskazitelnie piękne zęby. — Podoba mi się pani. — W jego głosie i sposobie zachowania się nie ma ani cienia zażenowania.— Poproszę o kawę i ciastko z kremem — woła do kelnerki. — Dwa ciastka — poprawia się.

— Wspominała pani w naszej korespondencji o samochodzie — mówi grubasek patrząc uważnie na Krystynę. — Z jakiego roku ta zastava? Ile kilometrów pani przejechała?

— Zastava? — dziwi się Krystyna. — Ja...

— Och, przepraszam. Pomyliłem się. Pani zdaje się pisała o warszawie.

— Ależ to pomyłka. Ja nie mam auta.

— Przepraszam, przepraszam. Nie ma pani samochodu... W takim razie... już wiem. To ta podmiejska willa. Należy w całości do pani? Mam świetny pomysł. Czy nie mogłaby pani zająć się hodowlą pieczarek? Czy duże te pani dzieci?

— Proszę pana, ja nie mam ani willi, ani dzieci.

— Och! Przepraszam. Najmocniej przepraszam. — Podrywa się z krzesła i ujmuje w swoją rękę dłoń Krystyny. Składa szarmancki pocałunek.

— Jaką pani ma śliczną rączkę. I taką małą rączką wykonuje pani taki ciężki zawód?

— Nie rozumiem — mówi kobieta i cofa dłoń.

— Jak to pani nie rozumie? W tej stacji obsługi samochodów...

— Myli mnie pan z innymi — mówi urażona Krystyna. Kelnerka przynosi grubaskowi kawę i dwa ciastka.

— Zawsze marzyłem, żeby ożenić się z taką kobietą jak pani.

— Niechże pan wrzuci wreszcie kostki cukru do kawy i zamiesza łyżeczką.

— A tak, tak. Chciałbym mieć dzieci — odzywa się po chwili grubas.

— Dużo? — pyta Krystyna.

Mężczyzna miesza kawę w szklance. Podnosi łyżeczkę z gorącym płynem do ust. — Hm — zastanawia się. — Czy dużo dzieci?

Krystynie przychodzi do głowy zabawna myśl. Ten grubasek na pewno chrapie. A ona tego nie znosi.

— Proszę pana, czy pan chrapie?

— Nie rozumiem. Co takiego? — mężczyzna ma tak śmieszną minę. Odstawił szklankę z kawą i patrzy nic nierozumiejącym wzrokiem na Krystynę.

— Pytam po prostu czy pan chrapie. Gdy pan śpi.

— A... tak... zdaje się... Ale czy to ma jakiekolwiek znaczenie?

— Nie. Oczywiście nie ma żadnego. Żadnego — odpowiada kobieta, ale wie, że nie mogłaby się położyć do łóżka z tym chrapiącym facetem. Nic nie będzie, mój ty poczciwy, z tą produkcją dzieci, myśli.

— Pani jest... chyba teraz się nie pomyliłem... Pani jest lektorką na uniwersytecie.

— No, nareszcie. Trafił pan w dziesiątkę.

— To cudownie — grubasek ożywia się. — Kobieta piękna. Uczona. Intelektualistka. Znawczyni języków. Tego mi właśnie było potrzeba. Pani wie, mam stonowisko. Poważne stanowisko. Wyjeżdżam w delegacjach służbowych za granicę. Właśnie chciałem się perfekcjonować — słowo to wymawia celebrując każdą zgłoskę — w języku angielskim.

— Kiedy?

— Co kiedy?

— Jeśli pan często wyjeżdża, to kiedy zajęlibyśmy się płodzeniem potomstwa?

— He, he, he — śmieje się grubasek. — Dowcipna z pani kobieta. Lubię takie.

— Muszę pana rozczarować. Nie nauczę pana języka angielskiego. Jestem lektorką włoskiego.

— Cudownie! To jeszcze lepiej. Angielski znam dość dobrze, a włoskiego niewiele. Za trzy miesiące wyjeżdżam do słonecznej Italii. Co pani przywieźć z Włoch? Zaczniemy naukę od jutra. Sono lieto d'aver fatto la sua conoscenza. Jestem zadowolony z poznania pani. Czy dobrze powiedziałem?

Źle pan wymawia słowo „conoscenza". Ale to nic nie szkodzi. Podciągnie się pan jeszcze.

— A dobrze, dobrze. Zależy mi na tym, żeby jak najszybciej. Przyjdę do pani. Mieszkanie ma pani trzypokojowe. Co? Tylko dwu? Nie szkodzi, oczywiście, nie szkodzi. A teraz będę musiał panią pożegnać. Bardzo mi się pani podoba. Bardzo. O dacie ślubu jeszcze porozmawiamy.

Spogląda na zegarek. Jest umówiony w innej kawiarni na spotkanie z właścicielką willi, albo panienką z obsługi samochodów, myśli Krystyna. Grubas wyjmuje z kieszeni notes.

— Pani adres? Wpadnę do pani o szóstej po południu. Jutro, tak. Chyba, że... chyba, że poważne obowiązki służbowe przeszkodziłyby mi. — Kolejowa trzynaście — mówi uśmiechając się Krystyna. — Zanotował pan? Mieszkanie cztery.

— Już notuję.

Mężczyzna wstaje z krzesła. Całuje Krystynę w rękę.

— Jest pani zachwycającą kobietą. Zachwycającą, doprawdy.

Już widać jego plecy. Znika przeciskając się między stolikami.

Krystyna przez dłuższą chwilę siedzi nieruchomo. Wypadło to dość idiotycznie, myśli. Nie wyjdzie za mąż za tego człowieka. Jestem skazana na przerażającą samotność, konstatuje. Dlaczego właściwie tak jest? Czemu? Nie jestem brzydka, raczej chyba ładna. Przecież byli mężczyźni, którzy mnie kochali. Byli tacy, których i ja kochałam. Więc?...

Obok przechodzi kelnerka, Krystyna daje jej znak ręką, że chce płacić.

— Dwie kawy, trzy ciastka — mówi kelnerka.

— Dwie kawy, trzy...

— No, tak. Przecież ten pan, który z panią rozmawiał nie zapłacił — mówi dziewczyna. Krystyna płaci. Przykre uczucie niesmaku.. Grubas nawet za kawę i swoje ciastka nie zapłacił. Jasne! Dziś ma jeszcze kilka takich spotkań. Niech płacą kobiety, które polują na męża. Krystyna wstaje. Wychodzi. Na ulicy oślepia ją blask słońca. Kobieta waha się dokąd pójść. Nie chce jej się wracać do pustego mieszkania.

— Proszę pani! — słyszy głos kelnerki. — Pani zapomniała...

Dziewczyna podaje jej kwiat. Zwiędły czerwony goździk w celofanie.

— Leżał na stoliku. Pani zostawiła. Dobrze, że pani jeszcze tu jest.

— Ach, dziękuję. Istotnie, zapomniałam — mówi Krystyna. Trzyma goździk w ręku. Najchętniej rzuciłaby go na trotuar. Nie wypada. Krystyna idzie przed siebie. Skręca potem w pasaż w kierunku parku.

— Krystyna!— słyszy nagle męski głos. Ogląda się. Ktoś znajomy? Kto? Ach, to Zbyszek. Nie poznała go od razu.

— Cześć, Krycha!

Zbyszek! Lubiła tego chłopaka. Kiedy to ja go widziałam ostatni raz? Stara się przypomnieć sobie, podając rękę na powitanie.

— Nie poznałaś mnie? — śmieje się Zbyszek. — To moja córka. Jolka — przedstawia małą dziewczynkę. Jola robi wdzięczny dyg. — Dzień dobry pani — mówi poważnie dziecinnym głosikiem.

— Co z tobą, dziewczyno?! — pyta Zbyszek patrząc na Krystynę. — Tyle lat, tyle lat. Żyjesz jak dawniej tutaj? Wyszłaś za mąż?

— Ożeniłeś się, widzę — mówi Krystyna.

Zbyszek śmieje się. — Wyobraź sobie, że nie mam żony, a córkę sfabrykowałem sobie sposobem gospodarczym. Prawda Jolu, że to tatuś cię urodził w godzinach pozabiurowych?

— Mała kiwa potakująco główką.

— Siądźmy na ławce — proponuje Zbyszek. Siadają w trójkę, w cieniu parkowego drzewa.

— Głupia historia — odzywa się po chwili milczenia mężczyzna. — Wiesz, moja córeczka miała rok, gdy żona ode mnie odeszła.

— Czemu?

— Nie układało się między nami. Tak zwana niezgodność charakterów.

Jolka sadowi się Krystynie na kolanach.

— Ile masz lat, malutka?

— Szósty — odpowiada za córkę Zbyszek. — Pamiętasz — odzywa się po chwili — naszą „Aptekę"?

— Aptekę? — pyta zdziwiona Krystyna. „Naszą aptekę". I już sobie przypomina. Góry Świętokrzyskie. Wesoła wycieczka. Szli czerwonym szlakiem turystycznym. Było ich pięcioro. Zbyszek, ona i jeszcze dwóch chłopaków i jedna dziewczyna. Dawne studenckie czasy. Apteką nazywała się polana. Pełna kwiatów, pachnąca ziołami, położona na południowym stoku Łysej Góry. Zastanawiali się skąd wzięła się ta nazwa. Zbyszek twierdził, że na tej polanie rosną lecznicze zioła. Dlatego „Apteka". Później Krystyna gdzieś wyczytała, że istotnie niegdyś mnisi mieszkający niedaleko owej polany, zbierali z niej zioła. Była ich apteką.

A wtedy w ten upalny sierpniowy dzień Zbyszek nie odstępował na krok Krystyny. Zamarudzili na skraju polany. Zbyszek był taki miły. Całowali się. Potem zaczęto na nich wołać, bo reszta towarzystwa nie chciała czekać na zakochanych spóźnialskich. A właściwie jak to się stało, że wzajemna sympatia, miłość może nawet, tak szybko wygasła? Nie spotkali się już później. Czy Zbyszek nie próbował odszukać jej, Krystyny? A ona jego? Prawdę mówiąc to próbowała, ale zrezygnowała gdy dowiedziała się, że Zbyszek ma narzeczoną.

— Słuchaj Krystyno — odzywa się mężczyzna — teraz to już nieważne — spogląda na kwiat w celofanie leżący obok kobiety — dużo i często o tobie myślałem. Wiesz... po tej wycieczce... i później, nawet czasem i teraz jeszcze...

— I dlatego nie szukałeś mnie nigdy... nigdy...

— Bałem się, że mnie odtrącisz. Wyśmiejesz może. Byłaś wspaniałym kumplem, ale...

— Ale co?

— Nic. Widzę, że masz od kogoś kwiaty. Zazdroszczę mu. Temu kto ci je ofiarował i od kogo je przyjęłaś.

— Nie bądź śmieszny Zbyszku. Bardzo cię lubiłam. Było mi bardzo przykro, że więcej się nie odezwałeś. Jak ci się powodzi? — pyta Krystyna chcąc zmienić temat.

— Nieźle. Pracuję w handlu zagranicznym. Wyjeżdżam od czasu do czasu za granicę.

— Powinieneś się znowu ożenić. Z kobietą, która zna języki obce. Mógłbyś się perfekcjonować na przykład we włoskim. Mógłbyś zacząć lekcje już od jutra.

— Krystyno! Co ty mówisz? Żartujesz chyba. Po to mam się żenić, żeby uczyć się języka włoskiego? A jeżeli wyślą mnie do Paryża to mam zmieniać żonę na taką, która zna francuski? Nic z tego nie rozumiem.

— Żartowałam — mówi Krystyna. Jola bawi się kwiatkiem w celofanie. Rozdziera wolniutko, ale skutecznie szeleszczącą, przezroczystą osłonę. Uwalnia wreszcie kwiat. Robi przy tym niezręczny ruch ręką i goździk pada na ziemię. Jolka zsuwa się z kolan Krystyny i w momencie kiedy staje na ścieżce, jej buciki miażdżą kwiat.

— Jolka! — Zbyszek zrywa się z ławki. Patrz, niedobra dziewczyno, co zrobiłaś? Niegrzeczna mała. Przeproś natychmiast panią!

— Ja przepraszam — mówi Jolka. — Dziecko ma minkę bliską płaczu.

— Zbyszku! Dokąd idziesz — pyta Krystyna.

— Zaraz wrócę. Jolka, ty zostań. Kupię ci, Krystyno, taki sam kwiat.

— Nie. Owszem, jeśli chcesz, kup. Ale inny. Nie taki sam. Rozumiesz? Inny.

Jak to dobrze, myśli Krystyna, że buciki Jolki zniszczyły kwiat od grubasa.

— Czy pani się jeszcze na mnie gniewa? — pyta nieśmiało dziecko.

— Nie. Nie gniewam się.

— To kup mi loda. Mama mi zawsze kupuje loda.

Zbyszek wraca po chwili z kwiatami. Są bez celofanu. Róże. Czerwone. Trzy. Wręcza je Krystynie.

— Słuchaj! — nagle ożywia się. — A gdybyś mi pozwoliła...

— Na co?

— Na odwiedzenie cię. Z Jolką, oczywiście — dodaje pośpiesznie widząc zdziwienie w oczach kobiety.

— Hm... To nawet niezły pomysł. Byłby lepszy... byłby lepszy osiem lat temu... Zresztą... czy ja wiem?... Przyjdź. Z Jolką lub bez Jolki.

— Możesz mi podać adres? Będę u ciebie, no powiedzmy, jeśli pozwolisz, jutro o piątej po południu. Jeżeli ci to odpowiada?...

— A! Tak. Jutro o piątej po południu. Jak najbardziej mi odpowiada. Zanotuj sobie mój adres.

Zbyszek wyjmuje z kieszeni notes i długopis. Jacyż ci mężczyźni są systematyczni. Wszystko muszą zapisywać w tych swoich grubych notesach, myśli Krystyna.

— Słucham cię — niecierpliwi się Zbyszek.

— Kolejowa 13.

— Mieszkanie?

— Cztery.

To będzie heca, myśli Krystyna. Tych dwóch rzeczywiście może spotkać się jutro po południu przed czyimiś drzwiami. Grubasek i Zbyszek.

— Już zanotowałem. Pozwól, że cię teraz pożegnam. Będę punktualny.

Wstają wszyscy troje z ławki. Krystyna odchodzi pierwsza. Później tamci, w przeciwnym kierunku. Ale Krystyna nagle czuje, że ktoś chwyta ją za spódnicę. To Jolka.

— Miałaś mi kupić loda. Ja proszę...

— Mamusia kupi ci lody. Przecież mówiłaś, że mamusia zawsze...

— Mamusia nie kupuje mi lodów. Nigdy! Nigdy! — krzyczy mała. — Mamusi nie ma... — mała wybuchnie zaraz przerażającym szlochem. Krzywią się jej małe usta, ale teraz wyrzuca z siebie jeszcze szybko słowa: „Mamusia jest w innym mieście. Ja tylko tak mówiłam... Mamusi nie ma... nie ma..." Płacz. Przerażający płacz dziecka. Podbiega Zbyszek. Chwyta córeczkę za rękę, stara się odciągnąć od Krystyny, ale mała mocno,obiema rączkami trzyma się spódnicy.

— Jolka! Chodźże — mówi zniecierpliwiony ojciec. — Puść tę panią. I otrzyj łzy! — Chusteczką stara się wytrzeć mokrą od płaczu twarz dziecka. — Idziemy do domu, córeczko!

— Idziemy! — mówi Krystyna. — Razem. Nie płacz mała. — Bierze Jolkę na ręce. Dziecko powoli przestaje płakać. Już się zaczyna uśmiechać, choć od czasu do czasu spływa jeszcze po policzkach łza.

— Dokąd? Dokąd my właściwie idziemy? — pyta Zbyszek. Och, jakąż on ma głupią minę, myśli Krystyna.

Idą teraz szeroką aleją parkową. Cała trójka, jak zgodne małżeństwo z dzieckiem. Mała paraduje pośród mężczyzny i kobiety zadowolona i szczęśliwa, liżąc lody, które po drodze kupiła jej Krystyna.

Dochodzą do postoju taksówek. Wsiadają. Krystyna podaje adres.

— Podałaś mi inny — dziwi się Zbyszek.

Krystyna nie odpowiada.

— Przecież... zanotowałem Kolejowa 13.

— Zbyszku! Najmilszy! Wykreśl starannie z notesu adres jaki podałam. Możesz natomiast wpisać ten, który powiedziałam kierowcy. A poza tym...

— Co poza tym?...

— Nic. Jacyż, wy mężczyźni, bywacie okropnie niedomyślni.

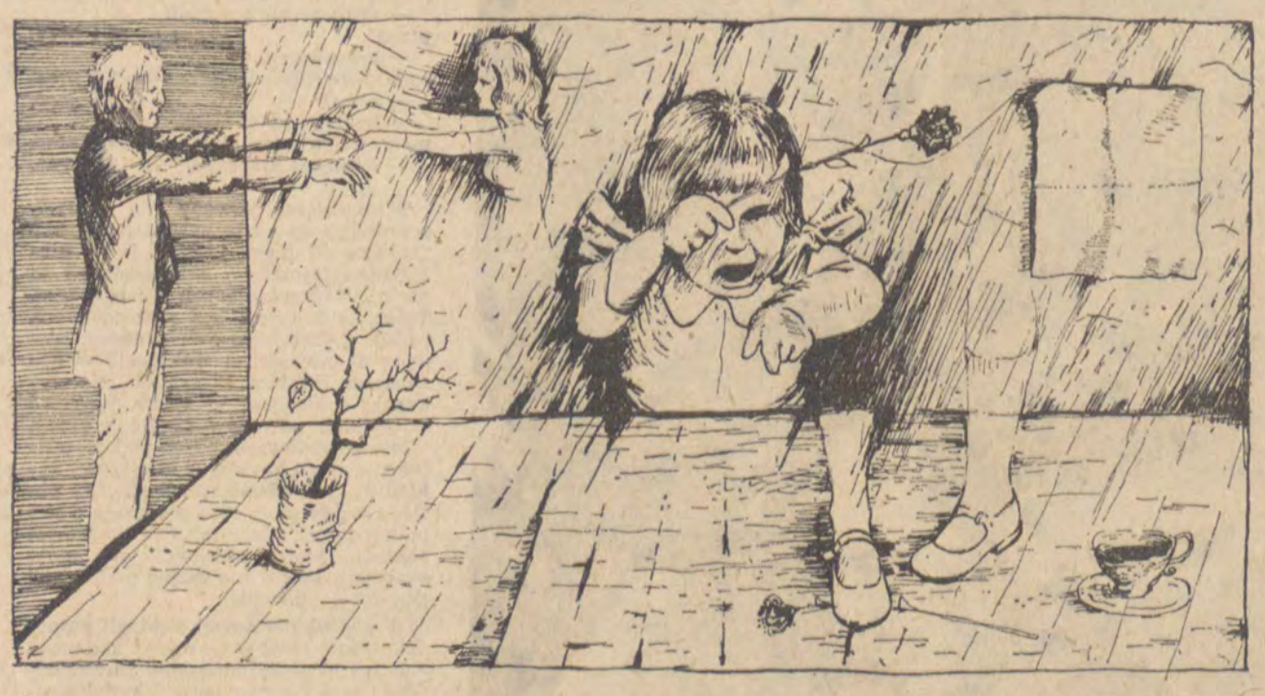

Rys. J. Szymański-Glanc

Ze zbioru opowiadań, który ukaże się wkrótce w druku nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

REPORTAŻ

POTRZEBA BODŹCÓW CZYLI DONOS Z SOCHACZEWA

Dalszy ciąg ze str. 1

Ale ja mam inny pogląd na życie. Jak się chodzi, to się wychodzi. Jak się depcze, to się wydepcze.

No więc jestem w tym Sochaczewie...

Krążę po zaśnieżonych uliczkach, rozmawiam z ludźmi. Jedni, owszem, skorzy do zwierzeń, innym oczy zachodzą bielmem strachu, czy ja przypadkiem nie „robię" dla obcego wywiadu.

— Jak się nazywa ten zakład?

— Po co to panu?

— Reportaż chcę pisać.

— To idź pan do Urzędu.

Urząd nie będzie przecież obmawiał miasteczka... Zaczepiam młodą dziewczynę. Płonąc ze wstydu, serwuje mi paszkwil na taryfiarzy. Bezczelni, nieobyczajni, kantują pasażerów w żywe oczy, co zaś się tyczy pasażerek, to wywożą je do okolicznych lasów pod Śladowem, Tułowicami, Kampinosem. Jasne, nieraz winna jest kobieta, bo po co zadaje się z takimi. Nieraz znowu nie bardzo jest winna...

Tu dowiaduję się, że sochaczewski taryfiarz splagiatował niedawno opowiadanie warszawskiego pisarza. Dama wysiadła trzaskając drzwiami, a on otworzył okno i mówi: — Zapomniała pani zapłacić. No to ona zawróciła i podała mu należność wsadzając nieopatrznie głowę do środka, a wtedy on przykręcił szybę i zaszedł ją od tyłu.

Podążam tym seksualnym tropem Grono panienek ze szkół różnego stopnia i różnego typu mówi z oburzeniem o nauczycielskich praktykach. Już nie chodzi o tego humanistę, który jawnie demoralizuje młodzież, prowadząc lekcje w stanie lekkiego zamroczenia alkoholowego. Chłopcy przepadają za nim, a klasa w czasie jego wykładów przypomina wesołą knajpkę. Kto chce — pali. Kto chce — pije lub odwija z papieru wałówkę. Komu nudno — wychodzi. Coś mi się zdaje, że wspomniany nauczyciel, nie wyrzucony póki co ze szkoły ze względu na brak odpowiedniego następcy, zapatrzył się na film „Pierwsza spokojna noc" i próbuje przeszczepić na polski grunt zachodnie wzory wychowawcze. Nie będę jednak streszczał tego filmu, tym bardziej, że humanista poza nałogiem palenia i picia nie dopuszcza się wobec uczniów (jakby to było mało) innych wykroczeń. A przecież są tacy, co nie piją, nie palą, uczą przedmiotów ścisłych z typową dla zawodów manierą srogich jezuitów i...

Na nich właśnie najbardziej narzekają panienki.

— Pan to musi opisać, skrytykować... Wywołał mnie na korytarz i mówi: przyjdź dzisiaj do mnie wieczorem, to ci wszystko wytłumaczę. Wie pan, nie umiałam rozwiązać zadania i groziła mi dwója, no to poszłam, chociaż Bożena i Bacha ostrzegały mnie przed tym. No i on zamiast wyjąć książkę, wyciągnął z szafy pół litra, napijemy się, powiada, to ci się w głowie rozjaśni i dalej pchać mi rękę pod sukienkę...

— Ten to jeszcze nic — przebija koleżankę inna uczennica. — **Najgorszy jest ten drugi, też techniczny, ma żonę i dzieci, wszyscy zresztą mają żony i dzieci, ale on ma na dodatek pięćdziesiąt lat, ogromny brzuch i paskudną gębę, i jest najbezczelniejszy, powiada zawsze: no, mała, tak albo siak, nóżki w górę albo repeta.**

Jedna musiała przenieść się do innej szkoły, druga musiała opuścić miasto, trzecia, która wzięła na tak zwany ambit kując materiał na blachę z żelaznym postanowieniem nie składania żadnych danin w naturze, i tak oberwała lufę i uratował ją dopiero komisyjny egzamin.

Co poza tym?

Och, nic się w spokojnym mieście nie dzieje. Jakby wziąć ostatni miesiąc, to tylko ten gość, co wskoczył w biegu na maskę syrenki i udając kaskadera odtańczył zadzierżystą polkę na dachu. No i jeszcze ten badylarski syn: kieszeń ciężka od pieniędzy, oczy zamglone gorzałką... na dyskotekę poszedł do Zakładowego Domu Kultury w dzielnicy Boryszew. Dyskoteka miała być do drugiej w nocy, ale o jedenastej wieczorem Waluś ściągnął ze ściany pianową gaśnicę i zaczął pryskać spod pachy na garnitury, sukienki, w oczy, w twarze. Wrzask się podniósł okrutny, ktoś zemdlał, bo myślał, że pożar. Nie, nic poza tym w ciągu ostatniego miesiąca, bo przecież ten wypadek w Bazie Autobusowej był w gruncie rzeczy tragicznym zrządzeniem losu. Ot, dwóch mechaników zagapiło się przez chwilę i wyjeżdżający z garażu autobus wybił nimi ścianę. Kierowca doznał ciężkiego szoku patrząc na zmasakrowane ciała kolegów.

Baza Autobusowa nie sprawia najlepszego wrażenia, no i graniczy przez mur z cmentarzem, w związku z czym powstało kilka makabrycznych dowcipów. W innym punkcie miasta znajduje się Dworzec Autobusowy, który też nie sprawia najlepszego wrażenia, i o tym, co dzieje się w dyżurce dworcowej, lepiej nie mówić. Informuje mnie natomiast nałogowy klient PKS, jak to jest, że te najdroższe, najpiękniejsze, najwygodniejsze dalekobieżne LUKSY są zawsze strasznie wyziębione. Po prostu kierowcy oszczędzają paliwo i te oszczędności — nie państwu bynajmniej lecz im — przynoszą każdego dnia sto parę złotych na lewo. Ty marzniesz, on zarabia, a na widok LUKSÓW ludzie zaciskają pięści.

W samym Sochaczewie komunikacja miejska też pozostawia wiele do życzenia. Ludzie, którzy kończą pracę w Chodakowskiej Fabryce Włókien Sztucznych, a Chodaków, podobnie jak Boryszew uchodzi za peryferyjną dzielnicę miasta, trafiają nieraz do domów w centrum z dwugodzinnym opóźnieniem. Kto nie ma cierpliwości czekać na te roztrzęsione graty, podejmuje wycieczkę piechotą: deszcz, mróz, błoto — wloką się karawany skrajem szosy.

No, ale dosyć, dosyć! Poza tym żadnych sensacji. Dwa razy w tygodniu: dokładnie — we wtorki i w piątki, na rynku odbywa się tak zwane Święto Dyszla. Ciągną z okolicznych wiosek chłopskie furmanki i kwitnie handel z wozów. Kupisz mięso, drób, warzywa, perkaliki, zagrasz w loterię; jak będziesz miał szczęście, nie okradnie cię Cyganka. A dużo ich, dużo, na tym Święcie Dyszla. Około południa, kiedy uraczeni gorzałką chłopi tracą trochę rozum, łatwiej namówić ich na wróżbę.

— Nowina dobra czeka cię, gospodarzu.

— Jaka?

— Połóż piątkę, to powiem.

Chłop kładzie piątkę, a ona:

— Syna masz w drodze.

— Syna?

— Tak.

— Cyganisz, babo. Przecie ja żem od czterech roków wdowcem!

W Barze SAM przy ulicy Staszica grupuje się element niebezpieczny. Barmanka, przyznać trzeba, nie ma łatwego życia. Tłum nierobów domaga się zaprawki, kobieta odmawia:

— Panie Józefie, nie wstyd panu? Nie powiem inni — wytyka ręką potrójny szpaler zwiędłych, nieprzytomnych twarzy — **ale pan żeś przecie ojcem rodziny. Wszyscy pracują, o dom się troszczą, a pan tak od samego rana, w drobny maczek...**

— No, wlej pani!...

— Nie.

— Co pani Polką nie jest?

Od czasu do czasu wkracza milicja. Sochaczew chwali swoją milicję: sprzęt dobry mają, motory, samochody, krótkofalówki. Znajdą się zawsze pod ręką, kiedy trzeba. Właśnie im zawdzięcza miasto spokój na ulicach — w dzień czy w nocy, możesz sobie iść bez strachu... Jeszcze niedawno chuliganili trochę chłopcy w Osiedlu „Dziki Zachód", ale nie były to żadne krwawe jatki.

Kiedy więc mówię, że w SAMIE gromadzi się element niebezpieczny, nie mam na myśli spraw ostatecznych. Na szarpaninie, przepychance scysje się kończą. Poza tym, panie władzo, gra muzyka.

Tyle, że gra trochę smutno. Pokazuje mi sochaczewianin kobietę starszą, sześćdziesięcioletnią. Nie ma nawet wyglądu nędzarki, ale chodzi od lokalu do lokalu, od stolika do stolika. Za honorowa pewnie, żeby żebrać, ściąga ze stołów resztki, dopija kufle, nieraz ktoś litościwy utoczy jej pół kielicha. Coś mi się zdaje, że nie przynosi to chluby miastu. Ułomność ludzka nie powinna być atrakcją.

No, ale do rzeczy...

Bierze mnie na bok tubylczy znawca sztuki kulinarnej i powiada:

— Skandal jest, proszę p...

— Oooo! — ucieszyłem się, że nareszcie jest skandal. — Co takiego?

— Drób!

— Nie rozumiem?...

— Zamiast kurczaków podają w restauracji gapy...

Tak właśnie powiedział. Nie jakieś tam kruki, wrony, gołębie, tylko gapy!

Nie lubię wulgarnych kalamburów, więc nie wykorzystam automatycznie nasuwającej się odpowiedzi. Nie wierzę w tę plotkę o gapach. Nudzi się ludziom, więc plotkują, spiskują, podejrzewają, dziury w całym szukają.

Ja też chyba szukam dziury w całym.

Bo Sochaczew nie jest wcale taki zły.

Co mi się nie podoba? Że spokojnie? Że nie ma żadnych głośnych afer i nadających się do prasy sensacji?

Można za to dobrze zjeść u Wicka, można wypić dobrą kawę w Rycerskiej, można przyjrzeć się miastu, które siłą ogólnego rozpędu porosło w nowe domy, przemysł, instytucje kulturalne, obiekty sportowe. A że rytm życia jest dość wolny, niemrawy jak na takie trzydziestoparotysięczne rojowisko, to już chyba sprawa samych sochaczewiaków. Pewnie im to odpowiada. Nie wszyscy muszą przejawiać nadmierne ambicje. Chociaż... coś mi się zdaje, że kilku młodych, zadzierżystych pasjonatów bez trudu mogłoby te ambicje rozbudzić.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Foto: Włodzimierz Parys

KSIĄŻKA

WYTRWAŁY KRONIKARZ

„Pisarz, to jest ktoś, kto pisze przeciwko przemijaniu czasu"
Günter Grass

Wygodnie jest nieraz — poszukując tytułu recenzji — zapożyczyć się u prezentowanego autora. Wygodnie jest również posłużyć się aforyzmem wprowadzającym czytelnika od razu w sedno sprawy. Nawet wówczas, gdy zbyt ogólny wydźwięk domaga się natychmiastowej precyzacji. Tak więc konkretyzując powiedzenie Grassa z książki „Z dziennika ślimaka" w odniesieniu do ostatniego zbioru felietonów i szkiców Jana Koprowskiego, rzec trzeba, iż zdecydowanie przeciwstawia się właśnie przemijaniu czasu kronikarski nurt pisarstwa tego ostatniego. Gdy szkicując przed niespełna rokiem sylwetkę twórczą byłego redaktora naczelnego „Odgłosów" do drukowanego w tym piśmie „Słownika pisarzy łódzkich" napisałem, iż ów kronikarski nurt stanowi moim zdaniem najistotniejszą cechę całego jego dorobku, wywołało to lekki sprzeciw pisarza. Pozostałem jednak przy wcześniejszym poglądzie, gdyż jako wierny czytelnik szkiców publikowanych w przeważającej większości w „Literaturze" sądzę, że posiadają one ważką i ugruntowaną pozycję we współczesnym życiu literackim w kraju. Informują o wielu literackich wydarzeniach, komentują je, polemizują, przypominają istotne rocznice. Stały krąg problemów podejmowanych przez Koprowskiego (sprawy literatury polskiej w świecie, międzynarodowe kontakty literackie, miejsce literatury w kulturze współczesnej, czy nawet liczne anegdoty, ciekawostki i nowinki) budzi szerokie zainteresowanie, są to bowiem sprawy dla aktualnego życia literackiego bardzo istotne. Tym bardziej iż z kronikarską rzetelnością pisze o nich ktoś, kto piastuje ważne stanowisko we władzach Związku Literatów Polskich i współredaguje poczytny ogólnopolski tygodnik, co znakomicie przecież ułatwia kontakty z wieloma twórcami i gwarantuje wiadomości z „pierwszej ręki".

Szczególnym zainteresowaniem darzy Koprowski polsko-niemieckie stosunki literackie. Na fakt ów wpłynęły bezsprzecznie osobiste losy — okres wojny spędził on w Niemczech, następnie pracował w Polskiej Misji Repetriacyjnej (w strefie brytyjskiej), a później w Misji Wojskowej w Berlinie. Wtedy też uczestniczył w pierwszym powojennym kongresie pisarzy niemieckich w 1947 roku. Bierze w nich udział do tej pory niemal tradycyjnie — ostatnio reprezentował ZLP na kongresie pisarzy Niemieckiej Republiki Demokratycznej w listopadzie 1973 roku. Tym wzajemnym kontaktom (poszerzonym o polsko-austriackie oraz polsko-szwajcarskie pogranicza literackie) poświęcona jest zdecydowana większość książki.

Koprowski odnotowuje życie literackie na gorąco, stąd też rozmaitość spraw, które go zajmują. Pisze więc o ludziach zdarzeniach, spotkaniach, książkach, rocznicach. Wiele jego szkiców nosi znamię gawędy. Tak jest w przypadku szkicu zatytułowanego „Alkohol i literatura", którego mottem z powodzeniem stać by się mogły słowa wypowiedziane przez zmarłego przed kilkunastu laty irlandzkiego pisarza Brendana Behana: „Jedyny mechanizm, jaki w ogóle rozumiem, to mechanizm korkociągu". Ilu twórców mogłoby się dziś pod tym podpisać? W innych szkicach wybija się na plan pierwszy odmienne od utartego spojrzenie na dzieje literatury, na losy pisarzy. Książka szwajcarskiego historyka literatury Waltera Muschga „Tragiczna historia literatury" wyzwala garść refleksji o twórcach, którzy zmagają się nie tyle z własnym dziełem, co z życiem. Przytoczone fakty przypominają, jak wielki jest wpływ nieszczęścia, cierpienia na prawdziwą sztukę.

Podobnie jak w modzie i w cenie są wszelkiego rodzaju dzienniki i osobiste wyznania pisarzy, tak i szkice, felietony czy reportaże uzupełniają w znacznej mierze literaturę sensu stricto piękną. Nie można bez nich wyobrazić sobie współczesnego życia literackiego. W kontekście tym „U NAS I GDZIE INDZIEJ", nawiązując do wcześniejszych zbiorów (np.: „Z południa i północy", „Ludzie i książki", „Na Wschodzie i na Zachodzie", „Dzień powszedni literatury"), stanowi kolejne świadectwo kronikarskiej wytrwałości Jana Koprowskiego. Kolejne, ale przecież nie ostatnie, wkrótce bowiem Wydawnictwo Łódzkie opublikuje nową jego książkę z tego zakresu pod tytułem „Przyjaciele i znajomi".

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

J. Koprowski, „U nas i gdzie indziej", „Felietony i szkice", Wydawnictwo „Śląsk", Katowice 1975, nakład 2281 egz., cena zł 20.—

OŚWIATA

JANUSZ MARCHEWA

JĘZYK POLSKI W DZIESIĘCIOLATCE

Proces nauczania zmierza do idealnego zakończenia, w którym wiedza ucznia będzie się pokrywała z wiedzą ogólną wytworzoną przez ludzkość. Rezygnacja z takiego efektu kształcenia doprowadziłaby do katastrofalnych skutków a głównie do tego, iż wiedza absolwenta szkoły średniej w konfrontacji z rzeczywistością byłaby niczym. W konsekwencji wszystkie reformy szkolnictwa niosą ze sobą takie zmiany programów i metod nauczania, które pozwalają na w miarę maksymalne zbliżenie wiedzy osobistej ucznia do wiedzy ogólnej. Wynikająca stąd aktualjzacja programów nauczania jest tylko lmitacją pościgu szkolnictwa za rozwojem nauki, gdyż pociąga to za sobą wzrost trudności towarzyszący przyswajaniu zaktualizowanej wiedzy.

Nawarstwianie owych trudności wymaga w pewnym etapie radykalnego rozwiązania przyczyn ich występowania. Kiedy jeszcze środki masowego przekazu potwierdzają dezaktualizację treści programów nauczania, a w podręcznikach nie ma zaznaczonych postępów nauki, to reforma całego systemu szkolnictwa staje się wręcz koniecznością.

Przygotowana reforma naszego szkolnictwa w myśl zasady: „szkoła samodzielnego myślenia" — wkroczyła w etap publicznej dyskusji nad programami nauczania. I Ogólnopolski Sejmik Polonistyczny obradujący w Piotrkowie Trybunalskim w dniach 2—4 lutego 1976 r. był poświęcony sprawom nauczania języka polskiego w zreformowanej szkole średniej oraz doskonaleniu wiedzy i kwalifikacji nauczycieli polonistów.

Rozpoczęcie dyskusji nad reformą oświaty od programu języka polskiego świadczy o randze i roli przedmiotu w całym procesie nauczania i wychowania. Miejsce języka polskiego, który ma pełnić w zreformowanej szkole średniej nadrzędną funkcję wobec innych przedmiotów określa układ treści programowych. Najogólniej rzecz biorąc język polski zespala elementy językoznawstwa, nauki o literaturze oraz wybrane zagadnienia z teorii kultury. Ilościowa przewaga kształcenia językowego nad literackim i kulturalnym ma swoje uzasadnienie.

Nie ulega wątpliwości, że kształcenie struktury wiedzy osobistej jest w znacznym stopniu oparte o zapamiętywanie i rozumienie elementarnych pojęć, jakimi są jednostkowe fakty. Zdania informujące o tych faktach, aby odpowiadały prawdzie muszą być precyzyjne, ścisłe, logiczne i poprawne pod względem językowym. Wydawałoby się, że takie przedmioty jak matematyka, fizyka czy chemia są wręcz wymarzonym poligonem dla kształtowania i doskonalenia sprawności językowej ucznia. Jednakże praktyka szkolna często wykazuje co innego. O ile polonista musi uwzględnić jako jedno z kryterium oceny pracy ucznia jego sprawność językową, to większość nauczycieli pozostałych przedmiotów ocenia jedynie aktualny stan wiedzy a nie umiejętność jej przekazywania.

Nowy program wypowiada walkę niechlujstwu językowemu, do której muszą się włączyć wszyscy, nie tylko nauczyciele, gdyż wiadomo, że sprawność językowa jest elementem sprzyjającym szybkiej adaptacji młodego człowieka w życiu społecznym. Kształcenie literackie i kulturalne poprzez ujęcie nauczania literatury jako zjawiska kulturalnego oraz jako sztuki słowa pozwoli nauczycielowi na pełniejszą realizację idei wychowania przez sztukę, dzięki czemu cały proces dydaktyczno-wychowawczy będzie miał charakter na wskroś humanistyczny. Zapewne będzie jeszcze dyskutowany kanon lektur szkolnych, zwłaszcza zwiększenie liczby lektur uzupełniających, co przyczyni się do zwiększenia elastyczności samego programu. Jednakże już teraz można stwierdzić, iż w znacznym stopniu zostaną zaspokojone różnorakie „potrzeby duchowe" uczniów.

Poprzez wprowadzenie dwóch ciągów chronologicznych odległych czasowo od siebie (np. kl. VII — literatura staropolska i wybrane utwory poetyckie z XX wieku) zreformowana szkoła średnia będzie spełniała niezwykle istotny cel nauczania: kształtowanie wiadomości historycznej. Poczucie świadomości historycznej przejawia się nie tylko w odnajdywaniu ciągłości motywów literackich, ale i rozumieniu związków pomiędzy dziejami narodu a jego kulturą. W efekcie uczeń musi zrozumieć, że teraźniejszość, to nic innego jak wzbogacony dorobek przeszłości.

W znacznym stopniu podporządkowano temu celowi osobny dział programu zwany „Podstawy samokształcenia i uczestnictwa w kulturze". Zapoznanie się z techniką uczenia się, formami informacji naukowej oraz wybranymi problemami z zakresu teatru, filmu i innych środków masowego oddziaływania pozwoli uczniowi na realizację hasła kształcenia ustawicznego oraz aktywnego uczestnictwa w kulturze masowej.

Rysem charakterystycznym przygotowywanej reformy jest dążenie do równouprawnienia nauczania z uczeniem się, w celu stworzenia racjonalnych podstaw wiedzy ucznia, która musi mieć charakter struktury. Wynika stąd, że wiedza absolwenta dziesięciolatki powinna mieć charakter struktury otwartej, gotowej na przyjęcie kolejnych pojęć zdobytych już w drodze samokształcenia.

Foto: Włodzimierz Parys

FILM

GORĄCZKA ZŁOTA

Foto: Archiwum

Scenariusz i reżyseria: Charlie Chaplin. Zdjęcia: Rollie Tetheroh i Jack Wilson. Wykonawcy: Charlie Chaplin (samotny poszukiwacz złota), Mack Swain (Wielki Jim Mc Kay) Tom Murray (Czarny Larsen), Georgia Hale (Georgia), Betty Morissey (przyjaciółka Georgii), Malcolm Waite (Jack Caneren), Henry Bergman (Hank Curtis).

Produkcja: „United Artists"
Premiera: 16.VIII. 1925
Długość: 2830 m.
Film ukazał się w wersji dźwiękowej, z muzyką i komentarzem Chaplina — 18.IV. 1942.

W dziejach kinematografii Charlie Chaplin był pierwszym artystą, który potrafił ukazać na ekranie świat ludzkich uczuć, marzeń, tęsknot, nieszczęść i nadać mu najwyższy humanistyczny wymiar. Artystyczna doskonałość, jaką obdarzył Chaplin swojego bohatera, stawia go w rzędzie tych postaci dramatycznych, które jak król Edyp, Hamlet, Don Kichot czy Faust wiodą w naszej kulturze żywot mityczny, albowiem najprzenikliwiej wyrażają tragizm ludzkiego losu. Chaplin był wprawdzie komikiem i komedię filmową jako gatunek wzniósł na nieosiągalne później wyżyny artystycznej i technicznej perfekcji, jednakże ostateczne posłanie jego filmów było zaprawiane goryczą społecznej niesprawiedliwości, upokorzenia, poniżenia, a także poczucia nieodwracalnego fatalizmu ludzkiego losu. Bowiem Charlie Chaplin wyraził w swoich filmach społeczne doświadczenie szerokich warstw społecznych, które w warunkach gwałtownie rozwijającej się industrialno-urbanistycznej cywilizacji XX wieku były skazane na nędzę, głód i krzywdę. Stąd też brała się ogromna, nieznana w skali całej historii kinematografii, popularność twórczości Chaplina na całym świecie. Sekret tej popularności polegał na niezwykłej umiejętności operowania takimi motywami artystycznymi, które wyrażały uczucia najprostsze i najbardziej uniwersalne: miłość, przyjaźń, współczucie, litość, dobroć, smutek, rozpacz...

Artystyczny rodowód Charlie Chaplina wywodzi się z odwiecznych tradycji pantomimy, widowisk cyrkowych i music-hallu. Jego sztuka aktorska i inscenizacyjna, jak również fenomenalne wyczucie potrzeb duchowych najszerszej publiczności, wiele zawdzięcza długiej praktyce w angielskich trupach rozrywkowych. Kiedy angielski emigrant — Charlie Chaplin spotkał się w USA z kinematografią, rozwinęło to znacznie jego pantomimiczne umiejętności i przysporzyło mu błyskawicznie wzrastającej popularności.

Początkowo zawdzięczał je Chaplin charakterystycznej sylwetce, na którą składał się obszarpany frak, bambusowa laseczka, wiecznie opadające, nazbyt obszerne spodnie, za duże buty, melonik oraz wąsik. W pierwszych filmach Chaplina realizowanych w latach I wojny światowej w nowojorskiej wytwórni Mack Sennetta Chaplin, zwany wówczas Chasem, grał rolę złośliwego osobnika, opanowanego niepohamowaną pasją niszczycielską. Już wtedy pojawił się najbardziej znamienny rys twórczości Chaplina: postawa nieprzystosowania, generalna odmowa podporządkowania się rzeczywistości, w której uczestniczy. Jednakże wkrótce sztuka Chaplina nabiera bardziej dojrzałego charakteru, zaczyna się nasycać motywami społecznymi, elementami satyry, demaskatorską ironią, a także poetycką atmosferą. W tym czasie Chaplin staje się prawdziwym i niezależnym autorem filmowym — sam pisze scenariusze swoich filmów, reżyseruje je, montuje i odtwarza w nich główne role. Ewolucja ta prowadzi przez takie filmy jak „Psie życie" (1918), „Charlie żołnierzem" (1918), „Wiejska idylla" (1919), „Brzdąc" (1921), „Pielgrzym" (1922) i „Gorączka złota" (1925).

„Gorączka złota" jest filmem, który powszechnie został uznany za jedno z najszlachetniejszych arcydzieł sztuki filmowej, jej dzieło klasyczne. W utworze tym wszystkie atrybuty sztuki Chaplinowskiej skupiły się w niezwykle klarownej i harmonijnej postaci. Fabuła tego filmu zamierzonego jako parodia filmów przygodowych o odkryciu złota na Alasce w 1898 roku była — jak we wszystkich filmach Chaplina — bardzo prosta.

Charliego spotykamy tym razem w scenerii dość niezwykłej. Mały włóczęga kroczy ośnieżonym górskim szlakiem poszukiwaczy złota. Burza śnieżna sprowadza go do chaty bandyty Larsena, do której trafia również inny poszukiwacz, Wielki Jim. Po dramatycznej walce Larsena z Jimem bandyta opuszcza chatę, a Jim rozstaje się wkrótce z Charliem, udając się na poszukiwanie złota. Charlie trafia do baru poszukiwaczy złota, gdzie zakochuje się w pięknej tancerce Georgii. Dziewczyna nie zwraca uwagi na niepozornego Charliego, lecz tańczy z nim, aby wzbudzić zazdrość amanta Jacka. Tancerka obiecuje Charliemu odwiedziny wraz z przyjaciółkami w sylwestrowy wieczór. Podczas daremnego oczekiwania na dziewczynę Charlie zasypia i śni jeden z najbardziej lirycznych snów filmowych — zabawiając swoich przybyłych we śnie gości, wykonuje improwizowany taniec bułeczek na widelcach. Niebawem zjawia się Wielki Jim, który znalazł złoto i proponuje Charliemu współpracę. Kolejna burza śnieżna zastaje obu przyjaciół w chacie miotanej huraganem na skraju przepaści. Cudownie ocaleni odnajdują zagubione złoża. W finale, kiedy obaj przyjaciele już jako milionerzy, wracają luksusowym statkiem do domu, Charlie nieoczekiwanie spotyka Georgię. Jest akurat przebrany — na prośbę fotoreportera — w swój dawny strój włóczęgi i zostaje wzięty za pasażera bez biletu. Po całym ciągu przewrotnych finałowych perypetii Charlie przedstawia dziewczynę jako swoją przyszłą żonę.

„Gorączka złota" stanowi film, w którym prostota formy ukrywa bogactwo znaczeń. Dramat samotności Charliego dochodzący do głosu we wszystkich filmach artysty, tutaj znalazł najgłębszy wyraz psychologiczny. Charlie przebywa w świecie ludzi złych, okrutnych i brutalnych.

Ich poczynaniami kieruje drapieżność, chciwość i egoizm. Wroga jest również przyroda, która skazuje Charliego na głód, mróz i nieustanne niebezpieczeństwa. Pozornie odległy od cywilizacji zakątek świata staje się w tym filmie jej satyrycznym skrótem skupiającej w sobie wszystkie wynaturzenia współczesności kapitalistycznej, w której celem najwyższym stał się pieniądz. W ten świat bezwzględny i wrogi Charlie wnosi ludzkie uczucia. Jego daremna miłość do Georgii jest ukazana w tonacji delikatnego liryzmu. Poczucie obojętności i obcości ludzi wobec siebie, którego doznaje wrażliwy Charlie, przesyca film tragicznym osadem. Jednakże „Gorączka złota" nie przestaje być komedią — jest antologią scen mistrzowskiego komizmu filmowego i genialnej pantomimy, scen cytowanych przez wszystkie podręczniki historii filmu.

Z POMOCĄ SZKOLE

Temat film w szkole powraca na łamy „Odgłosów" dość często. Jest to wyrazem określonych przekonań i intencji redakcji, szerzej zaś rzecz traktując, odpowiedzią na określone społeczne zamówienie. To, że właśnie „Odgłosy" częściej niżeli inne tygodniki społeczno-kulturalne do tematu tego wracają, jest również odbiciem zainteresowań i zasług łódzkiego środowiska pedagogicznego i filmowego w krzewieniu i realizacji idei i programu edukacji filmowej i wykorzystania filmu w procesach dydaktyczno-wychowawczych.

Działanie łódzkiego środowiska uniwersyteckiego i szkolnego na rzecz uwzględnienia w tych procesach filmu ma już swe kilkunastoletnie dzieje. Do lat pionierskich wracać już nie ma potrzeby, gdyż ich hasła zaczęły przyoblekać się w kształt konkretny, wymagający dziś, to prawda, jeszcze wielu usprawnień i korekt. Pora więc może przedstawić osiągnięcia i potrzeby dnia dzisiejszego, w tych ich aspektach, w których udział łódzkich naukowców, nauczycieli i pracowników kinematografii jest bezsporny.

Rozpocznijmy od przypomnienia rzeczy podstawowej. Po wielu latach bojów o uznanie przez władze oświatowe prawa filmu do obecności w programach szkolnych, miejsce to dlań uzyskano. Że jest ono jeszcze skromne, to prawda. Przyczyn po temu odnotować można wiele, wymieńmy choć kilka. — Hasła „film" musiano zmieścić w programach aktualnie obowiązujących, a ich pojemność i tak jest już wypełniona po granice. Pierwsze, projekty programów kształcenia w szkole dziesięcioletniej uwzględniają już hasła „filmowe" w szerszym wymiarze, ale to dopiero przyszłość. Dziś pamiętać trzeba o konieczności przygotowania nauczycieli do podjęcia nowych obowiązków programowych, pamiętać trzeba o braku książek i podręczników z zakresu filmoznawstwa, o braku zaplecza w postaci filmoteki szkolnej obejmującej dzieła niezbędne w edukacji filmowej, o braku innych koniecznych pomocy dydaktycznych, o ciągle jeszcze niedoskonałych formach rozpowszechniania filmów stricte dydaktycznych, o ich niezadowalającym, w wielu jeszcze przypadkach, poziomie. Pamiętać trzeba, że, jak dotąd, Telewizja Szkolna nie przyszła nauczycielom z pomocą realizując lekcje o filmie, a byłaby to forma zajęć najpowszechniejszych, docierających do miejscowości, gdzie kino nie ma swych stałych siedzib. Tam z kolei, gdzie mogłyby powstać tzw. kina szkolne, oddające któreś ze swych seansów na potrzeby szkół, nie myśli się o tym.

Jak w kontekście tych problemów i kłopotów wygląda udział łódzkiego środowiska w próbach ich przezwyciężenia? Zacznijmy od przypomnienia, że właśnie w Uniwersytecie Łódzkim, jako pierwszym w Polsce, zaczęli kończyć studia polonistyczne ludzie piszący prace magisterskie z zakresu filmoznawstwa, a wszyscy studiujący przeszli określone programem kursy wiedzy o filmie. W Instytucie Teorii Literatury, Teatru i Filmu już trzeci rok trwają studia podyplomowe z wiedzy o teatrze i filmie dla nauczycieli — polonistów z Łodzi i pobliskich województw. Pracownicy zaś Instytutu, jego doktoranci i absolwenci mają swój znaczny udział w procesach kształcenia w zakresie wiedzy o filmie i telewizji nauczycieli w całej Polsce. We wspomnianym Instytucie przygotowano, z myślą o nauczycielach, książkę „Kino i telewizja". Gdy za rok znajdzie się w księgarniach, wraz z publikacją Henryka Depty „Film i wychowanie", stanowić będzie oczekiwaną przez pedagogów pomoc. W Instytucie Teorii Literatury, Teatru i Filmu na zlecenie Ministerstwa Oświaty i Wychowania podejmuje się również w roku bieżącym badania nad metodyką stosowania filmu fabularnego w szkole. W badaniach tych wykorzystane zostanie doświadczenie łódzkich nauczycieli.

Wytwórnia Filmów Oświatowych, główny w kraju producent filmów dydaktycznych, swą działalność na rzecz szkół nie ogranicza do realizacji filmów. WFO ściśle współpracuje z Kuratorium m. Łodzi organizując akcje popularyzatorskie, poprzez Kuratorium, w trosce o poziom, poszukuje konsultantów pedagogicznych swych filmów. Znając aktualne potrzeby szkół, WFO włączyła też do swego programu produkcyjnego tak potrzebny w edukacji filmowej cykl „filmów o filmie".

Z inicjatywy Łódzkiego Oddziału Polskiego Stowarzyszenia Filmu Naukowego odbywa się co dwa lata w Łodzi Festiwal i Sympozjum Filmów Dydaktycznych i Naukowych — imprezy stymulujące realizację i wykorzystanie filmów dydaktycznych. Należy też odnotować zasługi ŁDK i MDK dla szerzenia kultury filmowej wśród nauczycieli i uczniów.

Korzystając tu z okazji, pragniemy też zainteresować Łódzki Zespół Telewizji Polskiej ideą filmowych lekcji telewizyjnych. Może warto, korzystając z doświadczeń i dorobku łódzkiego środowiska, wysoko w kraju ocenianego, i tę akcję podjąć.

Działa też w Łodzi, w dzielnicy Bałuty, Kino Szkolne („Halka"), do jego modelu i dyskusji o nim pragniemy powrócić w jednym z następnych numerów „Odgłosów".

To dzisiejsze przypomnienie działań na rzecz idei „filmu w szkole" sprowokowała jeszcze jedna środowiskowa inicjatywa — tym razem redakcyjna. „Odgłosy" rozpoczęły prezentację cyklu pod hasłem „Klasyka filmowa", w opracowaniu red. Tadeusza Szczepańskiego. Uczczono tym sposobem 80-lecie sztuki filmowej, jednocześnie jednak cykl ten drukuje się z myślą o nauczycielach, oddając im do rąk kolejne cenne materiały, niezbędne w realizacji zadań, które przed nimi postawiła kultura współczesna. Cykl ten gorąco polecamy.

EWA NURCZYŃSKA

NIEGOSPODARNOŚĆ

Bohaterem niniejszej opowieści jest **Lokalne Zrzeszenie Właścicieli Nieruchomości w Łodzi.** Powołane zostało uchwałą RN M. Łodzi (ogłoszone w Dzienniku Urzędowym nr 8 z 1965 roku, poz. 60). Jego zadaniem — jak z nazwy wynika — jest zrzeszać właścicieli prywatnych nieruchomości, dbać o ich interesy, interesy lokatorów oraz budynki, które stanowią w skali miasta jeszcze poważną pozycję (ok. 250 w administracji Zrzeszenia).

ZOFIA TARNOWSKA

DWIE KOBIETY i PREZES

Władzę bezpośrednią nad Zrzeszeniem sprawuje **Wydział Gospodarki Komunalnej i Spraw Lokalowych Urzędu Miasta Łodzi.** Władzą statutową jest Zarząd składający się z przewodniczącego, zastępcy, sekretarza, skarbnika i trzech członków. Istnieje też Komisja Rewizyjna.

Władzą administracyjną jest kierownik Biura Usługowego Administracji Domów, a współdziałają z nim kierownicy działów i samodzielnych sekcji.

Nowe od pewnego czasu kierownictwo Biura spowodowało coś na kształt trzęsienia ziemi w ustabilizowanym istnieniu Zrzeszenia. Sprawują je **dwie kobiety** o odpowiednim przygotowaniu fachowym. Ich fachowości i rzetelności należy zawdzięczać odkrycie przypadków, które wymagały natychmiastowej interwencji. Sprawy zostały przedstawione Zarządowi Lokalnego Zrzeszenia Właścicieli Nieruchomości, ale Zarząd potraktował je jako... krzywdę, która godzi w zacnych obywateli pełniących społeczne funkcje.

Protokół pokontrolny sporządzony przez starszego rewidenta Zjednoczenia Przedsiębiorstw Gospodarki Komunalnej jest lekturą interesującą, pouczającą i miejscami przerażającą. To, że sformułowany jest na 45 bitych stronach maszynopisu ilustruje rozmiary kwestii w nim poruszonych.

NIE TEN STATUT

Statut powinien być wzorowany na wytycznych zawartych w załączniku nr 2 do zarządzenia Ministra Gospodarki Komunalnej z 10.8.1964 r. w sprawie ustalania wzorów statutu dla Zrzeszeń Właścicieli Prywatnych Domów oraz sposobu prowadzenia rejestru tych Zrzeszeń (Monitor Polski nr 57, poz. 271).

Statut Lokalnego Zrzeszenia Właścicieli Nieruchomości w Łodzi zawiera szereg istotnych różnic w stosunku do wzorca. Akceptację tych „nowości" należałoby uzyskać od samego ministra, bowiem zmieniają one ilość członków zarządu, kadencje — z dwóch na trzy lata, kadencje delegatów na walne zgromadzenie z trzech na cztery, a kadencję Komisji Rewizyjnej z dwóch na trzy lata. Zmieniają także zakres uprawnień w zwalnianiu i przyjmowaniu dyrektorów i pracowników.

Zarząd, wbrew swoim uprawnieniom (jest czynnikiem społecznym), wkracza bezpośrednio w działalność kierownika biura, mimo że w zakresie czynności znajdujących się w aktach personalnych zobowiązał kierownika biura i głównego księgowego do odpowiedzialności za całokształt spraw administracyjnych i ekonomicznych. **Członkowie Zarządu** nie mają przygotowania zawodowego do zarządzania biurem, nie mogą przyjąć odpowiedzialności za swoje czyny ze względu na to, że pracują społecznie — formalnie rzecz biorąc. A życiowo... Zarząd składa się z osób w wieku 65-80 lat...

FINANSE

Świadectwem nieprawidłowej ingerencji Zarządu jest założenie odrębnej książeczki w Banku Spółdzielczym Rzemiosła w Łodzi i przelanie na nią bezpodstawnie zysku w kwocie 100 tys. zł w 1972 roku przez przewodniczącego Zarządu. Dlatego bezpodstawnie, gdyż zgodnie z zarządzeniem Ministra Finansów z 12 sierpnia 1963 r. w sprawie opracowywania i wykonywania budżetu oraz prowadzenia rachunkowości przez organizacje społeczne zysk podlega przeksięgowaniu na fundusz obrotowy. Przewodniczący działał z pominięciem dyrekcji, bowiem wówczas nie było dyrektora czyli kierownika administracji i księgowego i wprowadził władze banku w błąd pisząc, że jest to fundusz przeznaczony na kasę zapomogowo-pożyczkową dla członków Zrzeszenia zgodnie ze statutem. Ale wszystkie pożyczki pobierał dla członków nie z tego konta, lecz z funduszu obrotowego, który był umiejscowiony na koncie w banku PKO.

Nie wdając się w dalsze szczegóły manipulacji finansowej można stwierdzić ogólnie, **że gospodarka finansami postawiona była mniej więcej do góry nogami.** I nie tylko ona.

Oto zlecenia, które zamiast przez dyrektora biura podpisane były — jednoosobowo — przez przewodniczącego: podano przykładowo 9. W dalszym ciągu rewident wymienia inne zasługi jedynowładcy: 5 osobistych i wyłącznie osobistych akceptacji przydziału materiałów budowlanych członków Zrzeszenia bez liczenia się z potrzebami Biura Usługowego, które ma obowiązek wykonywać remonty administrowanych domów.

Nieprawidłowością jest — stwierdza rewident, iż badanie ewidencji i sprawozdań finansowych za 1973 i 1974 r. powierzano corocznie temu samemu dyplomowanemu biegłemu księgowemu. Umowę i wynik badania podpisał przewodniczący Zarządu zamiast jednostka zwierzchnia nad Zarządem, to jest Wydział Gospodarki Komunalnej Urzędu Miasta.

W rachunkowości budżetowej zamiast wzorować się na planie kont zawartych w przepisach o rachunkowości budżetowej zastosowano coś w rodzaju coctailu z księgowości budżetowej i przemysłowej, dodając jeszcze jakieś elementy „przyprawowe".

Swoistym rozdziałem w gospodarce finansowej Zrzeszenia jest kwestia **zadłużenia** posesji. Otóż powstały one na skutek wadliwego prowadzenia administracji poszczególnych domów i wadliwego prowadzenia remontu. Kiedy domy takie zostały dostatecznie zadłużone, zwracano je właścicielowi lub przekazywano w administrację MZBM. Było ich około 150 w ciągu 16 lat gospodarowania.

Nie tworzono funduszów specjalnych, to znaczy — socjalnego, mieszkaniowego, rezerwowego (na ewentualne potrzeby posesji najbiedniejszych). Nie było też funduszu inwestycyjnego, który został przeksięgowany na konto kasy zapomogowo-pożyczkowej dla właścicieli nieruchomości. Jak nie ma funduszu — niech nie będzie i planu inwestycyjnego. I nie było — co podkreślił w protokole rewident. Rok 1975 i lata następne — były inwestycyjnie puste z inicjatywy przewodniczącego Zarządu.

TYLKO JEDEN RAZ

Gospodarka materiałowa miała także wiele nieprawidłowości, a opisano je na 13 stronach. Bardzo interesujących (dla prokuratury zwłaszcza) szczegółów dowiadujemy się z rozdziału pt. **„rachunki wystawiane przez obcych wykonawców".** Komenda Dzielnicowa MO interesowała się swego czasu rachunkami wystawianymi przez prywatnych rzemieślników za remonty wykonywane w posesjach administrowanych przez Zrzeszenie. Komenda przejrzała 211 rachunków wystawionych przez jeden zakład zduński (prywatny) na łączną sumę 490 tys. zł. Rachunki te budziły również wątpliwości księgowej. Notatką służbową zwróciła się do skarbnika Zarządu o przeprowadzenie kontroli wykonania zalecenia. Okazało się, że np. rachunek, który opiewał na kwotę 2058 zł został podwyższony o około 1600 zł. Można sobie wyobrazić o ile zatem należałoby zmniejszyć kwotę 490 tys. zł. wypłaconych wyżej wymienionemu zdunowi? I kto sprawdził te rachunki? Kto je akceptował do wypłaty?

Odpowiedź: rachunki nie zawierają podpisów kontrolnych kierownika technicznego Zrzeszenia. Kierownik ten nie przedstawił też kontrolującemu dowodów kontroli wewnętrznej.

Od ustaleń kontroli ze Zjednoczenia Przedsiębiorstw Gospodarki Komunalnej **przewodniczący Zarządu odwołał się** do Urzędu Miasta. Kwestionował kilkanaście ustaleń, a tak w ogóle, to uznał, że powinien być najwyższą władzą Zrzeszenia i trwał w wyrażonym pisemnie przekonaniu, że wszystko co robił, robił dobrze. **Urząd Miasta polecił przeprowadzić kontrolę uzupełniającą. Potwierdziła ona wszystkie błędy wypunktowane przez pierwszą kontrolę.** W następstwie tego przyszły odpowiednie zalecenia pokontrolne.

ODWAŻNYM BIADA

Cóż się dzieje dalej? Kierowniczka Biura — **Janina G.,** inicjatorka porządkowania zabagnionej gospodarki Zrzeszenia, **dostała 31 grudnia 1975 r. wymówienie umowy o pracę z terminem — 3-miesięcznym.** Księgowa — **Janina Ż.,** druga inicjatorka i pierwsza „odkrywczyni" niedokładności w gospodarce Zrzeszenia **nie dostała jeszcze wymówienia tylko dlatego, że korzysta od kilku miesięcy — z powodu poważnej choroby — ze zwolnienia lekarskiego.**

Ob. Janina G. odwołała się stawiając przewodniczącemu sprawę jasno:

„... nie jest to odosobniony przypadek bezprawnego postępowania Obywatela, gdyż na Walne Zgromadzenie Zrzeszenia 15.12.75 r. nie został zaproszony kierownik — główny księgowy, mimo że głównym tematem obrad miało być zatwierdzenie bilansu na 1976 r. (...) Następnym dowodem stosowania bezprawia jest niehonorowanie zaleceń Urzędu Miasta wydanych w związku z przeprowadzoną rewizją problemową gospodarczą. Następnym dowodem bezprawnego działania jest wprowadzenie w błąd władz Banku Spółdzielczego Rzemiosła (...) Proponowałam Obywatelowi pracę planową, spokojną i zdawanie sprawozdań ze swej działalności co miesiąc lub co kwartał, ale za to zostało mi wręczone upomnienie. Najgorsi pracownicy, zwolnieni za pijaństwo czy kombinacje z wykonawcami robót i usług są dla Obywatela najlepszymi. Obywatel nie lubi widać porządku, bo to wygodnie, o tym zresztą świadczy i to, że brak jest akt osobowych Obywatela, a stąd podstawy do wykonywania wypłat i kontroli wykorzystywania urlopu..."

Odpis pisma skierowano do Urzędu Miasta Łodzi i Komisji Odwoławczej d/s Pracy przy Urzędzie Dzielnicowym Łódź-Śródmieście.

Otrzymałam niedawno pismo od „nieżyczliwej" Zrzeszeniu kierowniczki Biura — Janiny G., w którym znalazłam m.in. takie oto dane:

Przewodniczący Zarządu ma lat 69. Decyzją RW I 224640/30E została mu przyznana emerytura w wysokości 2.795 zł (w tym 30 zł na nie pracującą żonę). **Emerytury tej nie pobiera. Zawiesił ją a pracuje w Miejskim Przedsiębiorstwie Instalacyjnym „EMPEI" w Łodzi w niepełnym wymiarze czasu z wynagrodzeniem miesięcznym 750 zł** (pismo Przedsiębiorstwa, znak DP-IX-67/75). **W Zrzeszeniu pobiera 1.100 miesięcznie. Zawieszona emerytura jest o 945 zł wyższa niż wynagrodzenie od dwóch pracodawców.**

Co za zagadkowa postawa?

Za wykonanie nawierzchni podwórza w jednej posesji wystawiono **rachunek na 62 tys. zł.** Księgowa zakwestionowała jego wysokość, spowodowała korektę i oto **cena została zredukowana do 36 tys.** (!) Za nie zapłacenie rachunku w pierwotnej wysokości księgowa otrzymała... upomnienie od przewodniczącego.

— Trzeba płacić, a nie doszukiwać się zła — zwrócił jej uwagę, jak informowała mnie Janina G.

Ale nie każdego stać na taką postawę.

Kierowniczka Biura Lokalnego Zrzeszenia Właścicieli Nieruchomości w Łodzi **nosi wszystkie ważne dokumenty ze sobą w dużej teczce.** Boi się zostawiać w biurze, żeby nie przepadły dowody rzetelności dwóch odważnych kobiet. Bo rzeczywiście — życie daje jeszcze przykłady, że ten, kto, zgodnie z dyrektywami naszych najwyższych władz partyjnych, tępi zło — sam często jest tępiony...

Foto: W. Parys

PLASTYKA

CUEVAS — KOMEDIE

Departament wymiany kulturalnej Ministerstwa Spraw Zagranicznych Meksyku we współpracy z polskimi władzami kulturalnymi wystawia zbiór prac JOSE LUISA CUEVASA — uważanego za czołowego reprezentanta współczesnej plastyki tego kraju. Starannie przygotowaną ekspozycję oglądali w grudniu ubiegłego roku wrocławianie; u nas otwarto ją 29 stycznia, a w marcu powędruje do warszawskiej „Zachęty".

40-letni artysta cieszy się międzynarodowym uznaniem równym popularności wielkich muralistów: Siqueirosa, Orozco czy Tamayo. Murale historyczne i obyczajowe to tradycja, od której Cuevas zdecydowanie odstępuje. Jest we własnym kraju animatorem zwrotu ku uniwersalnym tendencjom współczesnej sztuki.

Posługuje się głównie rysunkiem i litografią, niekiedy płaszczyznę urozmaica cienką folią metalową lub ruchomymi elementami. Cuevas jest członkiem międzynarodowej rodziny rysowników — demaskatorów ludzkiej natury. Ostentacyjnie demonstruje pokrewieństwo łączące go z Boschem, Goyą, ekspresjonistami, Picassem, nową figuracją i Groszem. Ułożone w cykle, opatrzone prowokującymi tytułami prace („Zbrodnia według Cuevasa", „Komedie Cuevasa") rysowane są drobną, virtuozerską i swobodną kreską. Dopełnia ją kolor — stonowany, lecz zarazem świadczący o mistrzowskiej umiejętności operowania bogatą gamą zestawień.

Rysunki Cuevasa pokazują produkty wiwisekcji dokonywanej na mitach i ułomnościach europejskiej tradycji. Na tym — możemy odczytać — polega ich artystyczny kosmopolityzm.

Goya w komentarzu do jednego ze swych „Caprichos" pisze: „Artysta wybrał jako właściwy temat dla swego pisma spośród mnóstwa dziwactw i szaleństw, spośród wulgarnych przesądów i szalbierstw, zakorzenionych w obyczaju — te, które uznał za najwłaściwsze, by zdobyć sposobność do ośmieszenia i zarazem ćwiczenia swej wyobraźni".

Także Jose Luisa Cuevasa intrygują zjawiska ponure — odrzucając więc przyjemności estetyczne przekazuje swe odczucia odbiorcy. Czy przenosi niepokoje własnej duszy? Markiz de Sade, tortury, zjawy, kryminalne obsesje, odrażające maski, choroba, starość — całe to chorobliwe panopticum jest teatrem Cuevasa, gdzie artysta pełni główną rolę poruszając jednocześnie nitki pokracznych kukieł. Jest to widowisko, przyznać trzeba, dziwnie przyciągające, urzeka mistrzowską w czysto formalnym znaczeniu wizją „Odwrotnej strony medalu".

Filozofia Cuevasa (reminiscencje Kafki, Bruno Schulza) jest eklektyczna, podobnie jak warsztatowy rodowód; obie te kategorie mają jednak najwyższej rangi metrykę. Psychologia twórczości zna antynomię zachodzącą między ujmującą powiechownością twórcy — Cuevas jest przystojny niczym hollywoodzki amant — i jego życiową aktywnością a upodobaniem do studiowania szpetoty. Sztuka staje się tu psychiczną rekompensatą przeciwieństw życiowych.

Poufałe obcowanie ze Śmiercią, Złem i Dobrem wpisane w psychikę Latynosów wzbogaca się u Cuevasa o fascynację metaforyką sztuki Europy. Deklarowane przez niego odstąpienie od rodzimej tradycji nie jest chyba całkowite: podobnie drapieżny wyraz osiągnęła sztuka prekolumbijska. Szyderstwo artysty penetrującego tajniki osobowości jest pobłażliwe — co uświadamiamy sobie nie od razu. Łagodny w ostatecznym kształcie kolor i groteska zabarwiają te prace pewną dozą liryzmu. Teatr Cuevasa ma swoje gigantice: artysta zdejmuje maskę i ukazuje dla odmiany powabne oblicze.

Obnażanie tradycyjnej estetyki i etyki, rejestracja rozterek i niepokojów oraz niszczycielskiej siły konsumpcyjnego przerostu zajmuje uwagę artystów rozwiniętych społeczeństw Zachodu. Podobnie artystyczna filozofia Cuevasa może być dla nas fascynująca, ale powinna być także obca. Nasz czas nie wymaga jeszcze swego „memento mori". Czy można wreszcie mieć do tej wypowiedzi pełne zaufanie? Świat Mathiasa Grünewalda, Boscha czy Goyi pełen jest dramatycznych napięć — podczas gdy panopticum Cuevasa podszywa groteska, pastisz; być może zabawa.

KLUB KRYTYKI PLASTYCZNEJ

ANDRZEJ MAJER

JACEK INDELAK

Anatomia „BUNTU"

Zaczęło się od skargi na dyrektora Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej w Bogusławicach, skierowanej do Komitetu Centralnego Partii.

Autor listu pokrótce referuje mi w przeszło rok później główne zarzuty pod adresem **Dyrektora.** Po pierwsze: na jego polecenie zaorano 30 hektarów kukurydzy i 4 hektary pszenicy. Po drugie: obsługa chlewni nie tatuuje części nowo narodzonych prosiąt, tworząc w ten sposób statystyczny zapas, umożliwiający fałszowanie gospodarczych wskaźników; podobnym celom służą niedokładności i fałszerstwa w dokumentacji chlewni zarodowej. Po trzecie: zwierzęta hodowlane zaniedbane są do tego stopnia, że „buhajkom powrastały łańcuchy w karki". Po czwarte: mleko od krów szczepionych przeciwko gzom, którego nie wolno przez trzy dni spożywać, już następnego dnia wydawane było ludziom, a także odstawiane do mleczarni.

A w ogóle **Dyrektor** — arystokrata — ludzi ma za nic, nie dba o nich, pomiata nimi, ubliża im i wymyśla.

Włodzimierz Kulawiak daleko wykracza podczas rozmowy poza oskarżenia zawarte w liście. Nerwowo załamuje ręce. Z każdego słowa, gestu wyziera nienawiść. Gorączkowo wygrzebuje z pamięci kolejne zarzuty przeciwko **Dyrektorowi.** Znacznie mniej niż on mówią siedzący z nami przy tym samym stole **członkowie Egzekutywy** tutejszej organizacji partyjnej.

Na wstępie przedkładają mi **protokół** z zebrania partyjnego, zwołanego w związku ze skargą W. Kulawiaka do Komitetu Centralnego.

KC PZPR skierowało sprawę do rozpatrzenia przez instancję partyjną niższego szczebla — ówczesny Komitet Wojewódzki w Łodzi. **Na zebraniu partyjnym przedstawiono tak oficjalny pogląd w tej sprawie instancji wojewódzkiej, jak i wyniki kontroli przeprowadzonej przez inspektorów Łódzkiego Zjednoczenia Przedsiębiorstw. Hodowli Zarodowej w Łodzi.** Zarówno pogląd ów, jak i wyniki kontroli wywołały na zebraniu lawinę dalszych uwag i zastrzeżeń pod adresem Dyrektora.

Franciszek Kowalczyk zarzucał mu niewłaściwe odnoszenie się do podwładnych i ubliżanie im.

„Nie lepszy od Niego — cytuję z protokołu — **jest dyr. Bobrowski ze Zjednoczenia, który potrafi rzucać łaciną. Takie zajście miało miejsce w Lubiatowie i szeregu innych przypadków.**

Urządza sobie dyrektor rozmaite rozrywki, jak w filmie „Bonanza". Swego czasu na konnej przejażdżce do Przygłowa zakropionej wódką zagubiono jednego konia z pełną uprzężą w rejonie wsi Mokra i dopiero poszukiwania w dniu następnym doprowadziły do jego odnalezienia."

— Miał dyrektor swojego ulubionego konika, którego cenił wyżej od człowieka — mówił dalej F. Kowalczyk, opisując jak to koń ten do roboty w polu nie wychodził, w stajni sobie leżał i jeszcze go lekarz odwiedzał, a jak w końcu zdechł, to skóry z niego nie ściągnięto i pochowano w całości, urządzając mu piękny pogrzeb. Konkluduje F. Kowalczyk: — **U dyrektora zwierzę więcej warte od człowieka. Oczywiście, zwierzę ulubione.**

Edward Jaros w dalszej części zebrania oskarżał z mównicy: — **Dyrektorowi wydaje się, że on jest człowiekiem, a reszta to motłoch, z którym nie potrzeba się liczyć.**

Kolejny mówca — **Stefan Stefański** — opowiadał o zamkniętej świetlicy, do której oddania do użytku zobowiązała Dyrektora już uchwała POP z 1971 roku.

„— W odpowiedzi — stwierdzał dalej S. Stefański — **obecny w owym czasie na zebraniu dyr. Zjednoczenia Bobrowski wziął tę uchwałę w dwa palce by nie splamić sobie ręki i wymachując nią pod nosem sekretarza oświadczył, że taka uchwała dla dyrektora nic nie znaczy i postąpi on jak będzie uważał.**

— A ja przytoczę jeszcze taki fakt — mówił na koniec S. Stefański — **że podczas remontu dachu w Lubiatowie chciałem skorzystać z łazienki, lecz mi tego odmówiono, ponieważ w tym czasie zootechnik ob. Bożena Krawczyk kąpała w wannie psa. Tak to u nas pańskie psy są lepiej traktowane od ludzi".**

Zebranie kończyło się przyjęciem uchwały, w której zawarte są między innymi takie wnioski:

„ — wpajać w załogę przeświadczenie, że jest ona współodpowiedzialna za losy przedsiębiorstwa i za jej pracę należą się uznanie i szacunek (...),

— wyeliminować narzucone przez dyrektora jednowładztwo, dyktatorstwo i jaśniepaństwo i rozwiązywać wszelkie problemy gospodarcze i ludzkie w kolektywie...".

Protokół podpisali: protokolant — **B. Skrzypczak** i sekretarz POP — **J. Kobędza.**

Janusz Kobędza, Mieczysław Gardziński i **Władysław Kępiński** — członkowie Egzekutywy — spotkali się ze mną na kilkugodzinnej rozmowie. Przyprowadzili ze sobą **W. Kulawiaka,** również członka tutejszej organizacji partyjnej.

Organizacja, której sekretarzuje obecnie **J. Kobędza,** liczy sobie obecnie 34 członków i kandydatów z czego 20 osób to pracownicy sąsiedniego przedsiębiorstwa — **Państwowego Stada Ogierów.** Na POHZ przypada więc 14 osób, spośród których aż 10 — to przyjęci na kandydatów wiosną zeszłego roku młodzi pracownicy przedsiębiorstwa. Trzy — z czterech — nazwiska pracowników POHZ — członków partii już pamiętam: wymieniony w protokole E. Jaros i siedzący obok — W. Kulawiak i J. Kobędza.

M. Gardziński i **W. Kępiński** niewiele wnoszą do rozmowy nowego. Obaj są pracownikami PSO i najwyraźniej bliższe oraz lepiej znane są im sprawy własnego przedsiębiorstwa, o sąsiadach mówią więc nie tyle z przekonania, co z organizacyjnej solidarności. Pierwszy wspomina znów, omówioną w protokole, sprawę świetlicy. Drugi — bardzo szybko zmienia temat i sypie przykładami niegospodarności swoich zwierzchników (— **Ja tam się nie boję, ja za rok odchodzę na rentę!**), aby skończyć na własnej osobie i własnych zasługach w budowaniu podstaw państwowego rolnictwa.

Sekretarz również niewiele mówi, stara się obiektywizować, powstrzymuje W. Kulawiaka, kiedy ten brnie ustawicznie w relacjonowanie niesprawdzonych pogłosek i plotki podaje za fakty.

O wiele więcej dowiedziałem się od **Sekretarza** podczas długiego spaceru po terenach ośrodka, jaki odbyliśmy sam na sam zaraz po moim przyjeździe do Bogusławic.

W sumie jednak spotkanie z **Egzekutywą** uzupełnione rozmową podczas spaceru pozwala mi na wychwycenie i sformułowanie kolejnych zarzutów pod adresem **Dyrektora.**

Jest jeszcze sprawa mieszkań pracowniczych. Trzech walących się i nie remontowanych od lat budynków, w których urządzonych jest bez mała trzydzieści mieszkań, a więc w których mieszka większość pracowników ośrodka. Tymczasem pracownicy pobliskiego PSO mieszkają w idealnych wręcz warunkach.

Solą w oku jest to, że **Dyrektor** dba o ściągniętych do Bogusławic młodych absolwentów wyższych uczelni, dla których stara się wygospodarować jakieś mieszkania, remontuje je, wyposaża w wodę, ogrzewanie, łazienki. Do starych mieszkań też miała być doprowadzona kanalizacja. Rury już nawet położono, ale rdzewieją, bo prace wstrzymano.

— Milion złotych zakopano w błocie — słyszę — **cała nowa sieć się marnuje, a dyrektor nie wiadomo na co czeka.**

Dyrektor zwleka też złośliwie z wykonaniem łaźni dla pracowników, którzy wracając z pola czy chlewni, nie mają się gdzie umyć. Łazienek w domach nie ma, a cały ośrodek bez jednego nawet prysznica. Miały być prysznice w specjalnym pomieszczeniu wydzielonym przy oborze, ale nie może się ich załoga doprosić.

Niegospodarność! Znów w tym roku, mimo całej awantury, zaorano na mocy rozkazu **Dyrektora** 30 hektarów kukurydzy. Od lat też nie zbierano na polach kamieni. Kiedy w czasie czynu partyjnego próbowali to zrobić zostali wyśmiani. A tylko w zeszłym roku było 50 godzin przestojów z tego tytułu, bo maszyny łamały się na kamieniach.

W końcu: **Dyrektor** sam bezpartyjny, ze zdaniem partii się nie liczy, a na swoim stołku, to trzyma się tylko dzięki znajomościom.

Portret Dyrektora namalowany czarnymi jak smoła farbami. Malowany w trosce o wspólne dobro, w trosce o ludzi, o wyniki gospodarcze. Zarzuty kalibru najcięższego, wystarczyłyby z powodzeniem na pozbawienie stanowiska nie jednego, lecz trzech dyrektorów.

— Tak czy inaczej, dyrektor powinien odejść — zapewniają mnie moi rozmówcy.

A tymczasem sam **Dyrektor** — uroczy. Wysoki, przystojny mężczyzna po pięćdziesiątce, z przyprószoną siwizną czarną czupryną i wypielęgnowanym wąsem, w wełnianej marynarce w angielską kratę, w welwetowych bryczesach i lśniących jak lustro oficerkach. Szarmancki i dystyngowany. Wesoły i błyskotliwy. Z jasnym szczerym spojrzeniem i uczciwą twarzą.

Pozory?!

Sprawa bardziej złożona. Zanim się człowiek zbliży do prawdy, dokładnie musi obejrzeć dwie strony medalu. Precyzyjnie i systematycznie. Znaleźć rewers i awers. Dziennikarz musi sam wszystko sprawdzić. Wszystkich wysłuchać. Punkt po punkcie. Dokładnie, aby dać pełny obraz konfliktu.

Rozmowę z **Dyrektorem** rozłożyłem na dwa etapy. Pierwszy — trzygodzinny niemal — między spacerem z **Sekretarzem** a improwizowanym posiedzeniem **Egzekutywy,** przedzielonych jeszcze kilkoma wizjami lokalnymi w Wolborzu i Bogusławicach. Drugi etap — wielogodzinny, ciągnący się długo w noc.

A więc kolejno? Tym razem głos ma o s k a r ż a n y.

Punkt pierwszy: arystokrata. Przydomek, którym dyrektor, **Bogumił Wiszniowski,** obdarzany jest tak przez wrogów, jak i przyjaciół.

Nie każdy potrafi i nie każdy chce zaprzeć się dziedzictwa. **Dyrektor** trzyma w swoim biurku, na miejscu poczesnym, wśród innych dokumentów pracy i życia, papiery heraldyczne, jakie w imię Jego Imperatorskiej Wysokości Cara Wszechrosji wystawiono jego przodkom w Petersburgu.

— Jaki tam jednak arystokrata — śmieje się.

Dziadek — Symforian Wiszniowski, szlachcic polski, za udział w powstaniu styczniowym postradał na mocy carskiego ukazu rodzinną Porochnię na Ukrainie. **Ojciec** — jak i cała rodzina — tułał się po kraju, obejmując różne posady, przede wszystkim w rolnictwie.

Syn — Bogumił też z niejednego pieca chleb jadał. Ukończywszy gimnazjum w Stryju, dostał się do Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu, skąd trafił jako dyplomowany podporucznik do XV Pułku Ułanów Poznańskich. Z pułkiem tym odbywał kampanię wrześniową. Wrzesień. Październik. Ostatnie walki pod generałem Kleebergiem. Potem całe lata konspiracji na Lubelszczyźnie.

Od pierwszych dni wolności opowiada się za nową ludową władzą, która nie odrzuca zresztą jego deklaracji. Jeszcze w 1944 roku zostaje pełnomocnikiem PKWN na majątek Wronów, ale już we wrześniu tego roku uczestniczy w organizowaniu II Armii Wojska Polskiego, aby wkrótce otrzymać nominację na kwatermistrza Centralnej Bazy Chemicznej Wojska Polskiego.

Po zakończeniu wojny zostaje odkomenderowany do Łodzi gdzie obejmuje funkcje oficera placu tutejszej Komendy Wojska Polskiego. Zdemobilizowany w 1948 roku nie od razu może znaleźć odpowiednie zajęcie, więc dzierżawi w Łodzi niewielką działkę, zajmując się przewoźnictwem — jako furman — żwiru, piasku i cementu w ramach usług na rzecz spółdzielni budowlanej. Równocześnie jest jednak inspektorem Towarzystwa Ochrony Zwierząt, kierownikiem lecznicy weterynaryjnej, współdziała też przy organizowaniu Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Łodzi.

Wreszcie w czerwcu 1952 roku bierze się do „porządnej pracy". Zostaje kierownikiem Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Sarnowie koło Poddębic. Po dwunastu latach pracy w tym przedsiębiorstwie, obejmuje na prośbę swych zwierzchników zaniedbane gospodarstwo rolne w Szymbarku koło Iławy. Kiedy jednak w pięć lat później PGR całego powiatu podjąć mają inną całkiem specjalizację, składa prośbę o przeniesienie. Wybiera sobie Ułowo koło Brajewa, gdzie jest akurat vacat na stanowisku dyrektora. Vacat otwiera się również w bogusławickim POHZ. Zwierzchnicy i przyjaciele namawiają Wiszniowskiego do powrotu na Ziemię Łódzką. W końcu zgadza się, obejmując tę posadę w 1971 roku.

— Gdybym przeczuwał, co tu zastanę — mówi — **trzymałbym się od Bogusławic jak najdalej, ale stało się. Słówko się rzekło, kobyłka... Trzeba było zakasać rękawy i do roboty...**

— Dobrze, załóżmy, że Dyrektor jest tak złym człowiekiem — pytam Sekretarza — ale zły człowiek może być zarazem doskonałym fachowcem.

— No, trudno mu odmówić wiadomości i doświadczenia, ale zbyt wielkich osiągnięć gospodarczych to on nie ma. Są, oczywiście, pewne osiągnięcia, lecz przecież świat idzie z postępem — odpowiada mi powściągliwie Sekretarz, nie wiedząc, że ja wiem.

W ostatnich latach POHZ w Bogusławicach wysunął się na jedną z czołowych pozycji w całym zjednoczeniu. W 1970 roku Ośrodek miał 13 mln zł obrotu, w pięć lat później — przeszło 40 mln zł. Dochód przedsiębiorstwa wzrósł w tym czasie ze 127 tys. zł do 830 tys. zł. W 1970 roku nie było tu ani jednej sztuki trzody chlewnej, dziś jest prawie 1000. Niewspółmiernie też w stosunku do lat poprzednich wzrosły płace pracowników Ośrodka.

— Jednym z zarzutów pod adresem dyrektora — zadaję kolejne pytanie w czasie spotkania z Egzekutywą — jest to, że faworyzuje on jednych pracowników, innych zaś bezwzględnie tępi!... A propos tępienia, czy któryś z mówców oskarżających dyrektora usunięty został w odwecie przez niego z pracy?

— Kowalczyk, pracuje, Stefański też, Kubiak też — z protokołem w rękach zatrzymują się nad każdym nazwiskiem, chociaż wyraźnie widać, że mogliby bez sprawdzania zaprzeczyć.

— No, ale Jaros. Ten to ma za swoje. Premii żadnych nie dostaje i w ogóle jest szykanowany.

— A jakim jest tenże Jaros pracownikiem? Dobrym?

— No, nie najlepszym.

— Może więc to faworyzowanie jest niczym innym, jak nagrodą za dobrą pracę?

— Niezupełnie — orzeka Sekretarz i dodaje po chwili wahania: — **Zarabiają najlepiej, pracują też nieźle, ale to nie jedyne powody. Po prostu, niektórych lubi, a innych nie.**

Cóż, zarzut to miałki i niepoważny w porównaniu z treścią skargi do KC. W sprawie skargi przeprowadzono w Bogusławicach drobiazgowe śledztwo. Wszystkie zarzuty W. Kulawiaka zostały uznane za bezpodstawne. Dowiedziała się o tym cała załoga na pamiętnym zebraniu partyjnym.

Wyniki inspekcji i opinia instancji wojewódzkiej nie zostały jednak przyjęte do wiadomości przez autora listu i **Egzekutywę.** Zaprotestowali na zebraniu, a i później nie dali za wygraną. Nie dają do tej pory. Kolejny list. Tym razem już od Egzekutywy do Komitetu Wojewódzkiego w Łodzi. Skarga do ówczesnego I sekretarza KW. Kolejne wizyty kontrolerów. Lawina ruszyła...

Co ustalili inspektorzy? W wyjaśnieniu punktu po punkcie pomaga mi dyrektor Bogumił Wiszniowski, pomagają też bezwiednie inni moi rozmówcy.

Zaorywanie upraw? W dziejach rolnictwa na całym świecie zaorywało się kultury i zaorywać będzie. Na te-

Foto. „Perspektywy"

KONFLIKTY

renach byłego województwa łódzkiego tylko w zeszłym roku przeorano 3 000 hektarów kukurydzy. Po prostu nie udała się. Nie stać nas na podtrzymywanie takich upraw. Ziemia musi rodzić, stale i dobrze.

Nie tatuowane świnie? Prosiąt nie tatuuje się od razu. Czyni się to z reguły po upływie 21 dnia życia, wówczas to wiadomo na pewno, że przeżyją. Aby zadać kłam tej insynuacji wystarczy zestawić stany trzody chlewnej z ilościami sprzedanych sztuk i porównać to z sumą wyników poszczególnych miotów.

Dokumentacja? Długo się nad nią biedzili inspektorzy, lecz żadnych nieprawidłowości nie zdołali wykryć.

Łańcuchy „wrastające buhajkom"? Faktycznie, zdarzył się przypadek, że któreś z cieląt miało otartą łańcuchem szyję. Bogusławickie byczki otrzymują jednak najwyższe klasy eksportowe.

Mleko zatrute szczepionką? Według norm nie nadaje się do spożycia przez 24 godziny, o czym decyduje lekarz weterynarii. Jeśli więc szczepiono je jednego dnia rano, to już na drugi dzień mleko z popołudniowego udoju można było pić bez obaw.

„Bonanza"? Dyrektor — kawalerzysta i jeździec sportowy — kocha konie. Ma też własnego. Mości Chrząszcz się nazywa. Liczy sobie już 15 lat, a przyjechał do Bogusławic razem ze swoim właścicielem. 650 hektarów obejmują grunty ośrodka. Poruszać się po tym terenie znacznie łatwiej konno, niż samochodem. Zwłaszcza, gdy lubi się jazdę wierzchem.

Zagubiony koń? Fakt, że w czasie przejażdżki zaginął koń z uprzężą. Dosiadał go oficer Wojska Polskiego, znakomity zresztą jeździec, który potrącony został przez motocyklistę. Bezsprzecznie winien był ten ostatni. Proces w tej sprawie toczył się przez trzy lata.

Pogrzeb konia? Miał 25 lat. Nazywał się Czujduch. Bardzo zasłużony dla polskiego sportu wierzchowiec. W ostatnich dniach życia nie mógł już wstawać. Uśpiony przez weterynarza zakopany został w Lubiatowie razem ze skórą, która nie przedstawiała żadnej wartości gospodarczej.

Świetlica? Nie miała już racji dalszego bytu. Sprzęt poniszczony i rozkradziony. Na nowe wyposażenie trzeba by dużej sumy, a przecież o kilometr jest w Wolborzu piękny i obszerny Gminny Dom Kultury.

Odmówiono wstępu do łazienki? Łazienki w prywatnym mieszkaniu zootechnik, której wolno nie tylko psa we własnej wannie kąpać, ale nawet i pławić stado kotów.

Mieszkania dla pracowników?

— Tak, to był mój błąd. Wierzyłem w plany — mówi Dyrektor — **z których trzykrotnie spadła budowa trzech 12-mieszkaniowych nowoczesnych bloków. Przez ostatnie lata inwestowałem w budynki inwentarskie, prowadziłem remonty i prace adaptacyjne. Baza nasza jest zniedbana i nieodpowiednia. Zapowiedziałem jednak, o czym wie załoga, że w tej pięciolatce ani jednej cegły w bazę produkcyjną, wszystko — w zaplecze socjalno-bytowe. Bogusławice bez mieszkań rozlecą się. To znaczy Ośrodek, bo PSO — które stanowiło kiedyś jeden organizm gospodarczy — z podziału dóbr materialnych wyszło obronną ręką.**

Prysznice? Miały być w grudniu. Pomieszczenie już przygotowane. Wykonawca już jest. Doczekać się tylko nie można dostawy odpowiednich urządzeń. Ale pewnie w styczniu czy lutym prysznic będzie gotowy. Stać będzie do lata bezużytecznie, bo pomieszczenie do zimowych kąpieli nie nadaje się.

„Milion złotych zakopanych w błocie!"

— Przecież to są moje własne słowa — stwierdza Dyrektor. — **Ile się nawojowałem, żeby uratować tę sieć kanalizacyjną. Inicjatorem budowy było PSO, które później jednak nie zgodziło się na przeprowadzenie instalacji przez własny teren. Sprawa utknęła w martwym punkcie. Inwestycję przejęło w końcu Zjednoczenie, które — miejmy nadzieję — znajdzie jakieś wyjście z tej trudnej sytuacji.**

Kamienie na polach?

— Szkoda, że nie powiedziano panu — mówi Dyrektor — **z czyjej inicjatywy zbieramy kamienie w Bogusławicach. Powiem tylko, że podczas czynu partyjnego oczyszczono sześć hektarów, podczas gdy ja sam z młodzieżą z akademickiego klubu jeździeckiego oczyściliśmy z kamieni 32 hektary pola. Mało? Wiem, ale brak nam rąk do pracy przy realizacji znacznie ważniejszych zadań gospodarczych. Wiem, że były w tej sprawie uchwały POP, dla mnie jednak zawsze ważniejsze były uchwały KC PZPR. Gazety chociaż trzeba by było czytać, wówczas własne uchwały nie popadałyby w sprzeczność z postanowieniami najwyższych władz partyjnych.**

W taki oto sposób — punkt po punkcie — rośnie materiał dowodowy, dokonuje się anatomiczny rozbiór faktów i ich interpretacji. Do końca daleko jeszcze. Najtrudniej ustalić motywy.

Dlaczego?

Dyrektor milczy.

Sekretarz milczy.

— Czy wasza niechęć do dyrektora wywołana była jakimiś jeszcze innymi przyczynami, prócz rzecz jasna zabiegania o dobro Ośrodka i zatrudnionych w nim ludzi? Powiedzmy, przyczynami natury osobistej? — pytam znienacka Władysława Kulawiaka, wpędzając go w krańcowe zakłopotanie.

— Więc to już towarzysz wie? Nie! Nie powiedział wam — zaczyna wreszcie. — **Więc to było tak: przed odejściem na emeryturę byłem magazynierem. Przyszedł dyrektor Wiszniowski i od razu chciał mnie wrobić, że niby narobiłem nadużycia. Przez ostatnie lata toczyły się sprawy przeciwko mnie. I co? Jestem niewinny! Chodzę przecież na wolności!...**

Dyrektor:

— Przez ostatnie dwa lata Kulawiak brał pensję właściwie za darmo. Z funkcji go zdjąłem, bo było to zbyt niebezpieczne. Z pracy wyrzucić go trochę nie mogłem, a trochę też nie chciałem. Kiedy prowadzono prokuratorskie śledztwo przeciwko niemu oznajmiłem, że trudno jest jednoznacznie orzec, ile w tym było złej woli, a ile niedbalstwa i niekompetencji. Inaczej mówiąc, trudno powiedzieć, czy niedobory są wynikiem bałaganu czy kradzieży. Oczywiście, gdyby śledztwo potoczyło się innym torem, list do KC pisany byłby w więzieniu. Zaczynać jednak od wsadzania ludzi do więzienia? Nie, zwłaszcza, że na samym wstępie za podobne sprawy pozbyć się już musiałem kierownika gorzelni.

— I to wszystko? To jest właśnie ta zadra, która jątrzy...?

Dyrektor nie odpowiada na pytanie.

W tym momencie przypominam sobie fragment rozmowy z przygodnym pasażerem, którego w drodze do Bogusławic podwiozłem z Bab do Wolborza:

— Widzi pan — mówił ów pasażer — **sprawa sięga korzeniami w czasy, gdy dyrektor Wiszniowki był daleko stąd. Poprzednik, człowiek wielkiej dobroci, patrzył na wszystko przez palce. Dlatego też bogusławicki Ośrodek wraz z gospodarstwami domowymi wszystkich prawie jego pracowników, a nawet ich dalekich pociotków, stanowił jeden organizm gospodarczy. Z Bogusławic żyli ci wszyscy ludzie w sensie podwójnym. Dostawali tu pensję, do której sami dokładali sobie premie w postaci naturalnej. Korzystali bez przeszkód z paszy, z maszyn, z koni, z ziarna, ziemniaków, z cegły, żwiru i tak dalej. Ten organizm połączony był z życiem prywatnym pracowników za pomocą gęstej sieci kanalików, którymi wszelkie dobra wypływały z Ośrodka na prywatne pola do prywatnych gospodarstw. Sielanka trwała latami, aż tu nagle przyszedł taki Wiszniowski. Sam niczego nie brał, a innym zaczął wystawiać rachunki, zaczął obcinać kanaliki...**

Dyrektor nie musi już milczeć:

— Kiedy przyjechałem do Bogusławic, zamieszkałem z Kulawiakiem przez ścianę, w piwnicy dawnego budynku administracyjnego. Urządzone tam mieszkania ogrzewane były przez lokalną kotłownię. Pewnego dnia poszedłem do Kulawiaka i mówię: „Panie Kulawiak, trzeba za koks zapłacić!". „Jak to, panie dyrektorze, przecież nigdy za to nie płaciliśmy?". „A teraz będziemy płacić!". „Ale pan ma więcej żeberek. „Policzyliśmy". Dobrze, ja będę płacił 60 procent, a pan resztę." I tak się zaczęło...

— A inni?

— Nie chciałem o tym mówić, ale trudno... Janusz Kobędza skończył podstawówkę, potem jakiś kurs i został... młodszym księgowym. Jest teraz brygadzistą mechanizacji. Pracują w naszym ośrodku dwaj jego bracia — kierowca i monter — jako jego podwładni. Sam ma własną działkę trzyhektarową, którą z powodzeniem uprawiał. Na własnym też gospodaruje jego ojcie, który zresztą do całkiem prywatnych celów użytkował przez wiele lat budynki gospodarcze naszego Ośrodka. I znów pewnego dnia poszedłem do starego Kobędzy i mówię: „Niech pan z łaski swojej uwzględni w swoich planach fakt, że od tych żniw nasza stodoła służyć będzie wreszcie Ośrodkowi, a nie pańskim zbiorom." Czy sądzi pan, że to mu się mogło spodobać. Trudno się też spodziewać, żeby Kobędza w tej czy podobnej sprawie zaparł się własnego ojca, braci, samego siebie...

— Jest jeszcze Edward Jaros...

— Jest to wyjątkowo kiepski pracownik. Miałbym zresztą tysiąc okazji, żeby go zwolnić, ale tego nie robię, bo go po prostu lubię. Chociaż tak na mnie napyskował na pamiętnym zebraniu. Swoją drogą, nie wie pan jednego: w zeszłym roku przysłuchiwałem się jego procesowi. Wyrokiem Sądu Powiatowego w Sieradzu skazany został za wymuszanie od chłopa łapówki na pół bodaj roku więzienia z dwuletnim zawieszeniem. Ja z kolei nie wiem jednego, czy organizacja partyjna udzieliła mu za to chociaż nagany?

Rozmowa powoli wygasa. Dopijamy przestudzoną herbatę, dopalamy ostatniego papierosa. Czuję się niewyraźnie: jakiś dziwny niesmak. **Dyrektor** też nieswój: jakby żałował, że dopowiedział niektóre sprawy do końca. I mnie głupio, że zmusiłem go do przykrych wyjaśnień. Właściwie, nie ja zmusiłem, lecz sytuacja i prawidła anatomii.

— Niech pan lepiej tej sprawy nie rusza — mówi na odchodne. — **Mnie pan niewiele może pomóc, a jeszcze sobie zaszkodzi. Zresztą mnie pomoc nie jest potrzebna. Sam sobie jakoś muszę poradzić. Jeśli nie — odejdę. Z niejednego już przecież piecą chleb jadłem, a nie powiem, żeby bogusławicki należał do najsmaczniejszych i najwdzięczniejszych. Cóż, ludzkiej wdzięczności ani tu, ani gdzie indziej nie oczekiwałem. Mnie za moją pracę i serce w nią włożone podziękuje polska ziemia. I to jest cały sens mojego życia. I to jest przyczyną, dla której jeszcze tu siedzę...**

Nie, dyrektorze, nie przyjechałem tu, żeby pana oskarżać czy bronić. Oskarżyciele już się znaleźli, a obrońca rzeczywiście nie jest panu potrzebny. Sprawy jednak nie zostawię. Nie jest ona bynajmniej sprawą tylko pańską i kilku pana przeciwników. Spraw bowiem takich, jak ta, nie wolno pozostawiać własnemu biegowi, ukrywać ich i przemilczać. Z wielu względów, również i z tego, że może znów ktoś gdzieś siedzi sobie i, spoglądając od czasu do czasu w sufit, pisze list. List do Komitetu Centralnego, do Komitetu Wojewódzkiego, do Komendy Milicji, do Prokuratury ...Pisze list w imię ojczyzny i socjalizmu. Ale czy zawsze ma rację? Czy działa w naprawdę dobrej intencji?

Foto: Archiwum

JACEK INDELAK

TEATR

W KRAKOWIE GRAJĄ POLSKIE SZTUKI WSPÓŁCZESNE

Foto. W. Plewiński

Nie chcę być posądzony o kompleksy, a przecież muszę z głębokim przekonaniem stwierdzić, że życie teatralne Krakowa bije w porównaniu z Łodzią z reguły żywszym pulsem. Złożyło się na to wiele faktorów. Istotne znaczenie mają z pewnością wspaniałe tradycje krakowskiej Melpomeny, sięgające głęboko w przeszłość. Wiąże się ona z nazwiskami **Tadeusza Pawlikowskiego, Józefa Kotarbińskiego, Ludwika Solskiego i Stanisława Wyspiańskiego.** Tutaj w 1901 roku odbyła się słynna prapremiera „Wesela", tu w tymże roku przygotował Wyspiański pierwszą w historii pełną inscenizację „Dziadów" Mickiewicza...

Ale samą tradycją, nawet tak znamienitą, nie wykarmi się na co dzień teatru współczesnego. Musi on operować w tkance teraźniejszości, ciągnąc z niej ożywcze soki. Musi czerpać śmiało z materii literackiej swoich czasów jako z podstawowego tworzywa, gdyż niezależnie od dzisiejszej teorii i praktyki teatru, wyznającej prymat czynnika wizualnego, znaczenie literacko ukształtowanego słowa bynajmniej nie maleje.

Dobre widowiska sceniczne powstają na ogół w oparciu o dobry tekst dramatyczny. Bez niego teatry stają się jakby ciałem bez duszy, nie wypełnioną konstrukcją nośną. Jakże często, chcąc uniezależnić się od literatury, od „tyranii" słowa, budują one skomplikowane, wielowarstwowe struktury dla przekazu semantycznie prostych treści, które przyobleczone w słowo zabrzmiałyby ubogo, jeśli nie wręcz żenująco naiwnie.

Teatry krakowskie wydają się tę prawdę rozumieć. Jak również i tę, że bez konfrontacji scenicznej nie można liczyć na rozwój literatury dramatycznej. Stąd też wyraźna stawka na polską dramaturgię współczesną, liczne jej propozycje w bieżącym repertuarze. Wystarczy, jeśli na dowód przytoczę listę polskich sztuk współczesnych, które w czasie niedawnej ogólnopolskiej sesji Klubu Krytyki Teatralnej zaprezentowały dwa czołowe teatry krakowskie

Teatr im. Juliusza Słowackiego, zasłużona scena odznaczona Orderem „Sztandaru Pracy" I klasy, pozostająca obecnie pod kierownictwem artystycznym **Krystyny Skuszanki i Jerzego Krasowskiego,** pokazała nam prapremierowe przedstawienie najnowszej sztuki Jarosława Marka Rymkiewicza „Ułani" oraz „Ślub" Witolda Gombrowicza. Zaś cieszący się w ostatnich latach zasłużoną sławą najlepszej sceny w kraju, kierowany przez **Jana Pawła Gawlika, Teatr Stary im. Heleny Modrzejewskiej** przedstawił na głównej scenie „Rozmowy przy wycinaniu lasu" Stanisława Tyma oraz na kameralnej — prapremierowego „Garbusa" Sławomira Mrożka. W tymże teatrze mieliśmy jeszcze obejrzeć znajdujące się w zmiennym repertuarze prapremierowe przedstawienie „Białych ogrodów" (sztuka o Jarosławie Dąbrowskim) Bohdana Urbankowskiego, ale po prostu „nie zmieściło się" w i tak ładownym programie sesji.

W każdym bądź razie w dwóch tylko teatrach gra się równolegle pięć rodzimych współczesnych utworów scenicznych, z czego trzy prapremiery. Mają w swoim bieżącym repertuarze polskie sztuki współczesne także dwa pozostałe teatry dramatyczne: Ludowy w Nowej Hucie i „Rozmaitości"

Nie jest to jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności Zainteresowanie teatrów krakowskich naszą dramaturgią jest procesem stałym. Zapowiada się już nowe premiery, m.in. u **Krystyny Skuszanki** prapremierę sztuki Stanisława Hadyny (tak, tak, tego samego! Współtwórcy „Śląska") o Mahatmie Gandhim pt. „Błogosławieni pokój czyniący". Dramat ten nagrodzony był w 1969 roku na międzynarodowym konkursie ogłoszonym z inicjatywy UNESCO i ... leży na półce od siedmiu lat, pokrywając się coraz grubszą warstwą kurzu. Żaden teatr polski nią się nie zainteresował. Dopiero teraz Kraków.

Przykład ze sztuką Hadyny jest znamienny i pouczający. Swego rodzaju obyczajem stało się w środowiskach teatralnych utyskiwanie na kryzys współczesnej dramaturgii. Że to niby niech się tylko jakaś interesująca nowa sztuka pojawi, to — ho, ho! — natychmiast stworzy jej się królewską drogę na scenę. Historia ze sztuką Hadyny mówi o czymś zgoła innym. Nie czytałem tego utworu, nie mogę więc wypowiadać się na temat jego wartości Skoro jednak podejmuje się nad nim prace w 1976 roku, to można było zrobić to samo już kilka lat temu, nie tworząc wokół tej sztuki atmosferki, że to towar zależały...

Powiedzmy sobie szczerze: teatry boją się ryzyka (Kraków wydaje się tu godnym naśladowania wyjątkiem) i nieufnie podchodzą do rodzimej twórczości. A może ta wstrzemięźliwość jest uzasadniona, może nie należy teatrów zmuszać do podejmowania ryzyka? Odpowiedź na to jest jedna: w sztuce nie można unikać ryzyka. Kryzysu w naszej dramaturgii nie da się przezwyciężyć bez udziału teatrów, bez wystawiania nowych sztuk i to nie tylko tych najlepszych.

Cztery utwory dramatyczne, które oglądałem w Krakowie, reprezentują bardzo zróżnicowany warsztat literacki. Nazwiska Gombrowicza i Mrożka, wiadomo, gwarantują wysoką klasę i łatwo torują sobie drogę na scenę (choć „Garbusa" osobiście uważam za słabszą sztukę od innych dzieł tego znakomitego autora). „Ułani" J. M. Rymkiewicza to już poziom średni, rzecz ustępuje wyraźnie poprzednim sztukom tego autora, takim jak „Król Mięsopust", czy imitacje Calderona. „Rozmowy przy wycinaniu lasu" St. Tyma zaliczyłbym do literatury dramatycznej małego formatu, o zręcznym dialogu, ale niemal skeczowym charakterze. Mogę dodać, że „Białe ogrody" B. Urbankowskiego (tekst znam z lektury) to debiut dramaturgiczny nie wolny od pewnych nieporadności.

A więc styk teatrów krakowskich ze współczesną produkcją schodzącą z biurek naszych dramatopisarzy nie ogranicza się do utworów wybitnych, czy do znakomitych, sprawdzonych nazwisk. Warto przy tym zaznaczyć, że za sztuki te biorą się czołowi reżyserzy, tacy jak **Krystyna Skuszanka, Jerzy Jarocki, Jerzy Krasowski.** Scenografię powierza się **Ewie Starowieyskiej, Wojciechowi Krakowskiemu, Kazimierzowi Wiśniakowi.** Wreszcie i w obsadzie aktorskiej znajdujemy najlepsze nazwiska: **Ewa Lassek, Anna Lutosławska, Jerzy Binczycki, Marian Cebulski, Bolesław Smela, Jerzy Trela.** Słowem — czym krakowska chata bogata...

Nie ma więc w stosunku krakowskich ludzi teatru do współczesnej dramaturgii nic z odrabiania pańszczyzny, z „odfajkowywania" pozycji z myślą o sprawozdawczości. Daje się natomiast odczuć szacunek wobec tekstów — nawet tych słabszych! — i pełną troskę o to, by przyoblec je w jak najgodniejszy kształt sceniczny.

Nie chciałbym sprowadzić powyższych uwag do tanich pretensji pod adresem teatrów łódzkich. Nie pomyle się jednak chyba, twierdząc, że Łódź teatralna nie rozpieszcza rodzimych dramaturgów. Do rzadkości należą u nas prapremiery polskich sztuk współczesnych. Nie zdarzają się prawie przypadki współpracy teatrów z pisarzami. Nie zdołaliśmy wytworzyć w Łodzi klimatu sprzyjającego debiutom dramaturgicznym. Nie bez winy jest tu zapewne i prasa łódzka.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

LISTY

„ŚWINSKI PROBLEM W PARZĘCZEWIE"

W związku z artykułem Ryszarda Binkowskiego pt. „Świński problem w Parzęczewie", opublikowanym w Odgłosach nr 5/947 z 29 stycznia 1976 r., Oddział Wojewódzki Banku Gospodarki Żywnościowej w Łodzi informuje co następuje.

W 1973 roku został zorganizowany w Parzęczewie Zespół Rolników Indywidualnych, który za cel postawił sobie prowadzenie produkcji roślinnej oraz zwierzęcej. Wykonaniu tych zadań miało służyć przejęcie 55,64 ha gruntów z PZF oraz wybudowanie chlewni na 1000 stanowisk. Działalność gospodarczą Zespół prowadził przez 18 miesięcy, w okresie tym nie uzyskał planowanych efektów gospodarczych (chlewnia wykorzystywana była zaledwie w 30—35 proc.), w rezultacie czego poniósł poważne straty finansowe.

Działalność gospodarcza Zespołu nie była prowadzona w sposób przewidziany i zgodny z obowiązującymi zasadami. Żaden z członków nie pracował w Zespole, a do produkcji zatrudniali siły najemne. Tym samym został naruszony jeden z podstawowych warunków zasad organizacji zespołów, zawartych w Uchwale nr 209 Rady Ministrów z 30 sierpnia 1974 roku w sprawie pomocy państwa dla zespołowej gospodarki w rolnictwie (M.P. nr 31 z 1974 r. poz. 185), poprzednio Uchwały nr 44 Rady Ministrów z 11.2.1972 r. (M.P. nr 13 z 1972 r. poz. 28).

Zespół ten na potrzeby związane z działalnością gospodarczą zaciągnął kredyty bankowe. Zadłużenie w Banku Spółdzielczym w Ozorkowie z tytułu kredytów wyniosło 6.694 tys. zł, ponadto zespół posiadał inne zobowiązania tak, że majątek zespołowy nie pokrywał wartości wszystkich zobowiązań. W związku z taką sytuacją członkowie Zespołu 26 listopada 1975 r. podjęli uchwałę o przekształceniu dotychczas istniejącego Zespołu na Rolniczą Spółdzielnię Tuczu Zwierząt.

Obsługę finansowo-kredytową rolniczych spółdzielni sprawuje Bank Gospodarki Żywnościowej, który w tym celu otwiera i prowadzi ich rachunki. Podjęcie obsługi finansowej — otwarcie rachunku — jest możliwe dopiero po przedłożeniu postanowienia sądowego o wpisaniu Spółdzielni do rejestru. Rolnicza Spółdzielnia Tuczu Zwierząt w Parzęczewie do rejestru sądowego została wpisana 18 grudnia 1975 r. Natomiast rachunek bankowy otworzyła dopiero 30 grudnia 1975 r. W tym też dniu otrzymała instrukcję bankową regulującą zasady kredytowania rolniczych spółdzielni, celem zapoznania się z warunkami i zasadami udzielania tym jednostkom pomocy kredytowej.

W sprawie zawarcia z Bankiem umowy kredytowej przedstawiciele Spółdzielni wystąpili (ustnie) 6 stycznia 1976 r., nie prezentując żadnych dokumentów, z których wynikałyby zasady na jakich Spółdzielnia przejmie majątek Zespołu. Dopiero 8 stycznia 1976 r. został przedłożony protokół z 16 grudnia 1975 r. spisany na okoliczność przejęcia przez Spółdzielnię na warunkach wykupu poszczególnych składników majątkowych. Umowa kredytowa została przez Bank podpisana 9 stycznia 1976 r., w tym też dniu o udzieleniu pomocy kredytowej Spółdzielni został powiadomiony Wojewódzki Związek Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych w Łodzi. Natomiast Spółdzielnia została poinformowana o tym 12 stycznia (10 i 11 dni wolne od pracy).

Kredyty bankowe zostały udzielone, pomimo, że dotychczasowa działalność gospodarcza w ramach Zespołu — organizatorów Spółdzielni budziła wątpliwości co do efektów prowadzonej gospodarki, warunkujących możliwość spłaty kredytów. Stanowią one uzupełnienie własnych środków pieniężnych spółdzielni i udzielane są z zachowaniem warunków zabezpieczenia ich zwrotu. Spółdzielcy z Parzęczewa środków własnych nie posiadali. Dlatego Bank postanowił uregulować w całości zobowiązania Spółdzielni wobec Zespołu: za inwentarz żywy — 608.753 zł, za produkcję roślinną w toku — 88.324 zł, za zapasy — 44.124 zł oraz pokryć inne niezbędne wydatki związane z działalnością eksploatacyjną. Do 12 lutego br wypłaty z tytułu kredytu obrotowego wyniosły ca 821 tys. zł. Uruchomiony został kredyt na wykup od Zespołu maszyn i narzędzi rolniczych.

Natomiast odrębne zagadnienie stanowi zapłata z kredytu bankowego za nieruchomość rolną wraz z chlewnią oraz urządzeniami towarzyszącymi, których ogólna wartość wynosi zł. 5.063 tys. Stosownie do postanowienia wymienionej wcześniej instrukcji bankowej w spawie kredytowania rolniczych spółdzielni produkcyjnych. Bank będzie mógł udzielić na ten cel kredytu dopiero po zawarciu pomiędzy Zespołem a Spółdzielnią aktu notarialnego. O braku innej możliwości dokonania zapłaty za wykup nieruchomości Spółdzielnia została powiadomiona pisemnie.

W świetle podanych wyżej wyjaśnień, zamieszczone w artykule prasowym negatywne wypowiedzi prezesa zarządu Spółdzielni w części odnoszącej się do działalności BGŻ (w tym personalnie pod adresem 2 pracowników O/Wojewódzkiego BGŻ w Łodzi!) są całkowicie bezpodstawne i bezzasadne. Autor artykułu nie zadał sobie trudu, aby w pełni i dogłębnie zbadać omawiane zagadnienie między innymi poprzez uzyskanie wyjaśnień z Banku do czego — naszym zdaniem — był zobowiązany. Z tego też względu artykuł oparty o subiektywną wypowiedź tylko jednej zainteresowanej osoby jest krzywdzący dla naszej instytucji i jej pracowników imiennie w nim wymienionych. Zupełnie odmienną ocenę pracy byłego Zespołu w Parzęczewie zawiera protokół z kontroli przeprowadzonej przez Okręgowy Zarząd Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej w Łodzi, z którym należałoby się również zapoznać.

mgr inż. TADEUSZ CWYNAR
Dyrektor Oddziału Wojewódzkiego
Banku Gospodarki Żywnościowej w Łodzi

SPORT i POLITYKA

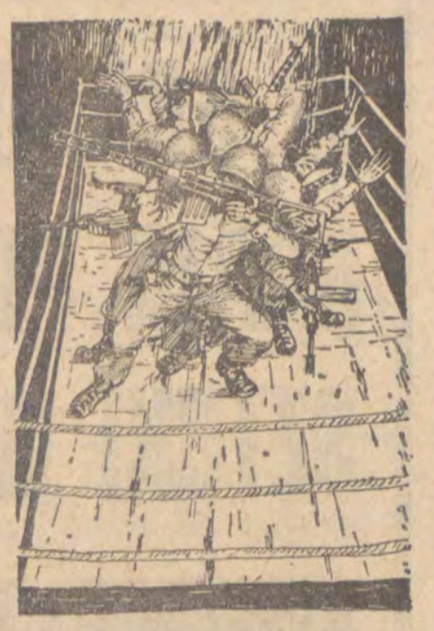

Rys. J. Szymański-Glanc

W poprzednim numerze „Odgłosów" zamieściliśmy fragment książki boksera Muhammada Ali. Dziś publikujemy dalszy ciąg walki Muhammada Ali z amerykańską komisją poboru do wojska.

TO BYŁO MOJE NAJWIĘKSZE ZWYCIĘSTWO

Komisja sportowa spełniła żądania mera i gubernatora: zarówno w Chicago, jak i w siedmiu innych miastach nie zezwolono mi na spotkanie z Tellerrem.

Moim jedynym kontaktem z amerykańskim prezydentem było pismo, które otrzymałem od niego 1 kwietnia 1967 roku:

„Rozkaz o powołaniu do armii. Nadawca: prezydent Stanów Zjednoczonych. Adresat: pan Cassius Marcellus Clay — młodszy, alias Muhammad Ali. Szanowny Panie! Otrzymał Pan wezwanie do stawienia się w wyznaczonym punkcie poborowym 47 stanu Kentucky w Louisville, w miejscu Pana zamieszkania. Jednakże na pańską prośbę skierowano Pana do punktu poborowego w Houston, stan Teksas, który będzie odtąd pańskim stałym punktem poborowym — w celu załatwienia formalności związanych ze służbą w wojsku. Dlatego winien Pan się stawić w wyżej wymienionym urzędzie, trzecie piętro, San-Jackyntostreet, 701, Houston, dnia 28 kwietnia 1967 roku, o godzinie 8 min. 30".

Wkrótce po otrzymaniu tego wezwania, będąc któregoś dnia w centrum Chicago, stwierdziłem ze zdumieniem, że nie jestem jedynym człowiekiem znającym treść wezwania. Z baru na Michigan-Avenue wyszła grupa członków „Legionu Amerykańskiego". Mężczyzna idący na czele zatrzymał się przede mną i rzekł:

— To jest Cassius!

Inny mężczyzna z tej grupy podszedł do mnie, żeby mi się przyjrzeć z bliska. Ich towarzysze zaczęli wykrzykiwać:

— Jesteś w ich rękach! Jesteś w ich rękach!

Jeden z nich wymachiwał małą amerykańską flagą, drugi uniósł w górę gazetę z ogromnym czarnym nagłówkiem: **„Armia mówi — Clay bądź z nami lub zamknij się!"**

Złożyłem podanie o zaliczenie mnie do liczby osób zwolnionych od obowiązku odbywania służby wojskowej i oświadczyłem, że żądanie **„noszenia broni lub zabijanie jest sprzeczne z zasadami mojej religii. Idąc za głosem sumienia występuję przeciwko jakiejkolwiek służbie wojskowej, która oznacza udział w wojnie, związany z zabijaniem ludzi".** W Louisville prośbę tę odrzucono.

Mój znajomy, niejaki Covinghton, namówił mnie, żebym przyjechał do Houston. Jego siostra była żoną gen. Hirsha, szefa komisji poborowej i miał on nadzieję, iż w Teksasie będę miał więcej szans na załatwienie tej sprawy. Ale władze w Houston także odrzuciły moją prośbę. Dwa tygodnie wcześniej Covinghton zatelefonował do mnie do Chicago:

— Mam złe nowiny, mistrzu. Generał powiedział mi, że twoje podanie odrzucono. Czegoś podobnego nie miałem jeszcze w mojej praktyce. Na twoim przykładzie chcą widać dać nauczkę innym.

W taksówce moi adwokaci wcisnęli się na tylne siedzenie, ja usiadłem z przodu, obok kierowcy. I tak pojechaliśmy do wielkiego gmachu na Jackynto-street 701, gdzie skoszarowano wszystkich miejscowych chłopców, udających się na wojnę do Wietnamu. Powitały mnie tłumy. Ludzie wspinali się na drabiny przeciwożarowe sąsiednich domów, w oknach także widziałem mnóstwo twarzy.

Łańcuch policjantów powstrzymywał tłumy. Wszedłem po schodach. Moi sympatycy witali mnie i coś wykrzykiwali.

— Tędy, panie Clay — mówi jakiś urzędnik w wojskowym uniformie.

W ślad za nim wchodzę do dużego pomieszczenia o powierzchni połowy boiska do gry w siatkówkę. Rekruci stoją już w szeregu. Oficer wskazuje gestem miejsce, w którym mam stanąć — między Murzynem a wysokim, chudym chłopcem. Trzydziestu rekrutów przygląda mi się z zainteresowaniem, kiedy zajmuję moje miejsce. Wielu z nich czuje się nieswojo. Biały chłopiec obok po prostu trzęsie się ze strachu, szczęka zębami. Przed nami siedzi grupa oficerów, przeglądają papiery, sprawdzają wykazy i rozmawiają półgłosem.

Dzielą nas na grupy. Wypełniając kwestionariusz czuję, że ktoś zagląda mi przez ramię. Kiedy odwracam głowę, oficer spogląda w bok.

Kończymy egzamin pisemny i przechodzimy do innego pomieszczenia, gdzie czekamy przez chwilę na oględziny komisji lekarskiej.

— Rozebrać się do kalesonów — poleca oficer. Spojrzawszy na mnie lekarz robi minę, jak by tylko na mnie czekał.

— Nazwisko? — pyta.

— Muhammad Ali.

Chmurzy czoło:

— To znaczy Cassius Clay — konstatuje niejako i zaciska usta powstrzymując się od dalszych uwag.

Jego asystent, mały człowieczek w okularach w rogowej oprawie, odprowadza mnie na bok i ogląda mi migdały. Następny lekarz ogląda mnie jak byka przed spędem.

— Niech pan podejdzie bliżej — rzuca sucho, po czym obmacuje mnie wskazującym palcem. Wreszcie każe zakasłać.

— Jeszcze raz!

Kaszlę jeszcze raz. Teraz pyta:

— I pan nie chce walczyć za swoją ojczyznę?

Jego palec bodzie mnie w ciało.. Milczę. Przechodzą mnie ciarki, bo wyobrażam sobie czasy, kiedy na Południu odbywały się sądy Charlesa Lyncha i kastrowanie.

— Okay — mówi asystent. — Możesz się ubrać i coś zjeść w poczekalni.

Idę tam, biorę jedną z białych misek z zupą i szukam sobie miejsca. Po obiedzie niektórzy poborowi stają się bardziej rozmowni. Chcą ze mną pogadać. Pytają:

— Jeśli wsadzą cię do więzienia, kto będzie wówczas mistrzem świata?

— Wezmą po prostu jakąś kukłę i zrobią z niej mistrza. Ale ludzie na to nie pójdą.

Do pokoju wchodzi oficer:

— Proszę pójść na lewo, przez pokój, do sali „B". Tam wciela was do sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych.

Sala „B" była niegdyś siedzibą sądu. Na podium, po którego obu stronach ustawiono amerykańskie sztandary, czeka na nas jasnowłosy, zielonooki, młodszy ode mnie oficer. Szybkim spojrzeniem obrzuca salę i zaczyna czytać:

— Jesteście powołani do sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych — do piechoty, do marynarki wojennej, do lotnictwa lub piechoty morskiej. Każdy rekrut, po usłyszeniu swego nazwiska i wyszczególnieniu rodzaju wojsk zrobi krok w przód i ten krok potwierdzi jego przydział do określonego rodzaju sił zbrojnych.

Oblewam się potem. Oglądam się na prawo i na lewo. Mam nadzieję, że nikt nie widzi, jak drżą mi plecy. W myślach szukam gorączkowo czegoś, co by mogło mnie uspokoić.

Porucznik wyczytuje nazwisko mego sąsiada z lewa. W sali jest zupełnie cicho. Teraz porucznik z niepokojem patrzy na mnie, wie, że jego generał, major i wszyscy oficerowie z komisji poborowej w Houston czekają na ten moment.

Przeżywam dziwne uczucia. Odczuwam wyraźnie, jak ustępuje strach i pojawiają się pierwsze oznaki gniewu. Kim jest ten biały człowiek, działający na polecenie innego białego człowieka? Kto może mi kazać, żebym wyjechał do Azji, Afryki czy gdziekolwiek indziej i walczył przeciwko ludziom, którzy nie zrobili nic złego ani mnie, ani Ameryce? Kim jest ten potomek właścicieli niewolników, który każe potomkom niewolników walczyć i ujarzmiać inne narody na ich własnym terytorium?

Teraz już z niecierpliwością czekam, kiedy wyczyta moje nazwisko i patrzę mu prosto w oczy. Na sali następuje jakieś poruszenie, niektórzy świadkowie tej ceremonii przepychają się do przodu.

— Cassius Clay — piechota!

Porucznik przez chwilę patrzy na mnie, po czym przenosi spojrzenie na trzymaną w ręku listę. Jeden z rekrutów wybucha śmiechem. Wówczas oficer podnosi głowę i, czerwony na twarzy jak rak, każe wyprowadzić z sali wszystkich poborowych. Wychodzą szybko, pozostaję sam.

— Cassiusie Clay, czy nie chce pan zrobić kroku w przód i zostać wcielonym do sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych?

Milczę. Na podium wchodzi kapitan z teczką pełną papierów i zamienia z nim kilka słów. Później podchodzi do mnie.

— Panie Clay — zaczyna, ale tutaj poprawia się — albo panie Ali, jeśli woli pan, żeby tak pana nazywać.

— Tak jest.

— Proszę ze mną do gabinetu. Chciałbym z panem chwilę porozmawiać na osobności.

Brzmi to bardziej jak rozkaz niż prośba, ale głos ma miękki i mówi uprzejmie. Wchodzę za nim do pokoju obwieszonego portretami generałów. Wskazuje na krzesło, ale nie siadam. Wyjmuje z teczki jakieś papiery. Wyraz uprzejmości znika mu z twarzy i przechodzi do rzeczy:

— Być może, nie zdaje pan sobie sprawy z tego co pan zrobił. Moim obowiązkiem jest wyjaśnić panu, co następuje: Jeśli jest to pańska ostateczna decyzja, to proszę przyjąć do wiadomości, że popełnił pan czyn karalny, który może pana kosztować pięć lat więzienia i grzywnę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Jestem upoważniony do udzielenia panu czasu na przemyślenie pańskiej decyzji. Instrukcja o trybie wcielania do wojska przewiduje, iż w podobnych wypadkach bierze się pod uwagę jeszcze jedną ewentualność...

— Dziękuję panu, ale nie skorzystam z niej.

...przewiduje — ciągnie dalej nie odrywając spojrzenia od swoich papierów — że powraca pan do sali, w której odbywa się procedura wcielania do wojska, staje pan przed podium i wyczytują pana ponownie.

Podnosi się z fotela. Idę za nim do sali i widzę nowe twarze. Wojskowych przybyło więcej, pojawił się stenograf i kilku mężczyzn w cywilnych ubraniach. Jakiś żołnierz podaje mi kartkę ze słowami: „Od pańskiego adwokata".

Jest to kopia pisma prokuratora do mego adwokata: „Upoważniono mnie do powiadomienia pana, że jesteśmy gotowi pójść na kompromis. Jeśli nakłoni pan swego klienta do wyrażenie zgody na odbycie służby wojskowej, to my zgodzimy się pozostawić go w Houston dopóty, dopóki nie wyczerpie pan swoich wszystkich prawnych możliwości. W przeciwnym razie natychmiast postawimy go w stan oskarżenia".

Mnę pismo i chowam do kieszeni. Zielonooki oficer czeka chwilę i powtórnie odczytuje rozkaz o wcieleniu mnie do wojska:

— Panie Cassiusie Clay, proszę zrobić krok do przodu, żeby potwierdzić rozkaz wcielenia pana do armii Stanów Zjednoczonych.

Znów nie ruszam się z miejsca.

— Cassius Clay, piechota! — powtarza i patrzy na mnie jakby czekał, że może namyślę się w ostatniej chwili. Milczę. Podaje mi blankiet do wypełnienia:

— Podpisze pan to oświadczenie i poda powód uchylania się od służby wojskowej.

Szybko podpisuję oświadczenie i wychodzę na korytarz. Idę za kapitanem, który odprowadza mnie do moich adwokatów. — Teraz może pan iść — zwraca się do mnie. — Resztę dowie się pan od prokuratora...

W 1967 roku wymierzono mi najwyższy wymiar kary: pięć lat więzienia i 10 tysięcy dolarów grzywny.

Odmowa wzięcia udziału w wojnie w Wietnamie jest moim największym zwycięstwem w życiu. Zdobyłem coś, co nie ma ceny. Ucieszyłem się widząc przed gmachem sądu tłumy przyjaznych mi ludzi. Kiedy zobaczyłem ich uśmiechy, pomyślałem, że mówiłem nie tylko za siebie, lecz także za nich.

Oprac. W. STOK.

WACŁAW KONDEK

STEFAN KUBICKI

DUCHY Z LUDZKIMI CECHAMI

Odtwarzam z pamięci kolorowe obrazki na drewnie malowane przez Wacława Kondka, widzę chatki na kurzych nogach zawieszone wśród drzew — chatki jak ze snu dziecka. Wokół tych naiwnych domków kłębią się różne postacie, wspaniała galeria typów ludzkich: z jarmarku, ze wsi, z przydrożnej karczmy, której nie ma.

Odtwarzam bez większego trudu z pamięci cykl grafik Wacława Kondka. I znów te same motywy, ale wzbogacone umiejętnie stylizowanym folklorem. W chatce ze snu dziecka panuje spokój, prawie idylla, ale na zewnątrz drapieżne gałęzie drzew atakują dach, wdzierają się przez okna, drzwi. Szalejący żywioł za chwilę zakłóci spokój dziecka. Liryczne obrazki rozpadną się, pierwsze pęknięcia widać na pniu podtrzymującym chatkę.

Przypominam sobie pejzaże Wacława Kondka, pejzaże: ul. Piotrkowskiej i wiejskie, z jego ulubionych wsi, których już dawno nie ma... a może nigdy nie było?

I pamiętam jego film, pamiętam pięknego „Ondraszka" nagrodzonego przed laty w Oberhausen. Film bardzo poetycki; Kondek z rekwizytów ludowych stworzył świat zastanawiająco nowoczesny, liryczny i smutny, jak wszystko co stworzył.

Pamiętam też jego drewniane świątki i rzeźby ceramiczne — również oparte na motywach ludowych. Kondek, niezależnie od tworzywa, od techniki, snuł nieprzerwanie opowieść o odwiecznych prawdach; ilustrował swoje marzenia — marzenia człowieka niezwykle wrażliwego na ból, na cierpienie, ale także zachwyconego pejzażem polskim, polskim obyczajem i tradycją ludową. Z grubsza biorąc wszystkie te elementy odnaleźć można niemal w każdej pracy artysty: czy to będą obrazy olejne, czy grafika, czy też rzeźba.

Kondek wspaniale rysował. Miał tzw. „lekkie rysunki" płynne w linii, ozdobne w secesyjną ornamentykę. Widać to szczególnie w jego świetnych albumach — „Ulica Piotrkowska" i w ilustracjach wnętrz pałacyków łódzkich.

Myślę, że w przypadku twórczości Wacława Kondka można mówić o stylu — w znaczeniu: oryginalny sposób przekazywania wyobraźni artysty, oryginalne przetworzenie własnej wizji. Jeśli chodzi o technikę przekazu, technikę rejestracji artystycznych obrazów Kondek był niemodny, niektórzy mówili: „zachowawczy". Oba określenia i „niemodny" i „zachowawczy" — w moim odczuciu — mają wartość komplementu.

Rzadko się zdarza — nawet twórcom starszego pokolenia — aby pozostali sobie wierni nie tylko w zakresie uprawianej dyscypliny plastycznej, ale także w środkach wyrazu, w tym co się określa techniką warsztatu. Jak wiadomo wszelkiego rodzaju techniki starzeją się niebywale szybko tylko tematy, a więc treści, mają długowieczne żywoty. Dla plastyka młodszego i średniego pokolenia sposób malowania jest często ważniejszy od tematu, forma bywa jedynym i pełnym środkiem wyrazu.

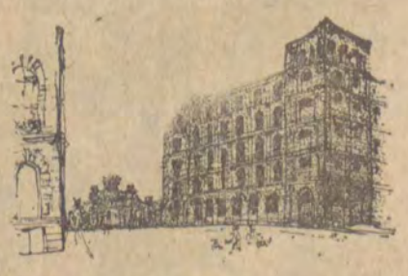

Rys. W. Kondek

Dalszy ciąg na str. 12

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ CSRS

Współpraca z ZSRR umożliwia naukowcom czechosłowackim aktywny udział w badaniach właściwości i struktury materii w przestrzeni kosmicznej. W latach 71—75 w ośmiu satelitach „Interkosmos" pracowały czechosłowackie urządzenia do badania promieniowania słonecznego i kosmicznego, jonosfery i magnetosfery Ziemi oraz mikrometeorytów.

Podobnie czechosłowaccy geologowie z powodzeniem uczestniczą w badanich kosmicznych, przeprowadzając analizę próbek gruntu księżycowego, pobranych przez radzieckie stacje Łuna 16 i 20. Jako rezultat współpracy akademii nauk ZSRR i CSRS powstał atlas form najdrobniejszych cząstek pyłu księżycowego.

* * *

W Czechosłowacji działa obecnie 26 wyższych uczelni, mających swą siedzibę w 17 miastach wszystkich województw. Liczba studentów sześciokrotnie przewyższa stan przedwojenny i wynosi ponad 144 tys. słuchaczy (łącznie ze studiami wieczorowymi). Udział kobiet wśród młodzieży akademickiej wynosi ponad 40 proc., wobec 17 proc. w roku 1937.

* * *

Wydawnictwo „Ceskosloveneky spisovatel" uruchomiło nową edycję nazwaną „Portrety pisarzy". Poszczególne monografie w syntetycznej formie omawiać będą najważniejsze fakty z życia i twórczości czeskich i słowackich literatów, którzy przyczynili się do rozwoju piśmiennictwa socjalistycznego. W roku 1975 w serii tej ukazała się m.in. książka o Antoninie Zapotockim, drugim z kolei robotniczym prezydencie Czechosłowacji, autorze powieści historycznych z życia robotników i przywódców socjalistycznych.

* * *

W styczniu otwarto w Pradze nowe studio telewizyjne do nagrywania programów w kolorze. Studio wyposażone jest w całości w urządzenia produkcji czechosłowackiej. Kolejne dwa studia dla programów kolorowych otrzyma telewizja CSRS jeszcze w I połowie b. roku.

* * *

W Domu Artystów w Pradze uroczystym koncertem zostały zainaugurowane obchody 80-lecia Czeskiej Filharmonii. W programie zaprezentowano dzieła Antonina Dvoraka, który dyrygował podczas pierwszego występu w dniu 4 stycznia 1896.

* * *

Dorocznym zwyczajem Związek Pisarzy Słowackich przyznał nagrody im. Hviezdoslava. Wśród laureatów tej nagrody za rok 1975 jest znany polski krytyk literacki doc. dr Witold Nawrocki z Uniwersytetu Śląskiego.

* * *

W ostatnim 30-leciu wybudowano w CSRS 3500 kin. (Nie licząc dużej ilości kin na wolnym powietrzu) Studia filmowe w Pradze, Bratysławie, Gottwaldowie i Ostrawie produkują rocznie ok. 40 filmów fabularnych, 1500 krótkometrażowych oraz 280 tys. metrów programu filmowego dla potrzeb telewizji.

* * *

Biblioteki czechosłowackie wyposażają rocznie blisko 50 mln tomów książek. Na jednego mieszkańca CSRS przypada sześć woluminów, podczas kiedy w sąsiedniej Austrii 3, w Kanadzie 2,2 a RFN 1,8.

* * *

Po raz pierwszy w swej historii własną orkiestrę symfoniczną posiadają południowe Czechy. Orkiestra zainaugurowała swą działalność w styczniu b.r. w Czeskich Budziejowicach.

* * *

Pierwszą tegoroczną premierą Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego był musical „Na szkle malowane" Ernesta Brylla i Katarzyny Gaertner w reżyserii Frantiska Korduli. Po raz pierwszy w historii teatru skorzystano z playbacku, na którym nagrano trudniejsze pieśni, pozostałe śpiewane były na scenie przez aktorów do muzyki z taśmy magnetofonowej. Nagrań dokonał zespół folk-beatowy „Bukanyri" pod dyrekcją autorki muzyki do musicalu K. Gaertner.

„PIEŚŃ BUNTU" Z REFRENEM

Oszołomieni bywalcy jednego z kin we Freiburgu (w rejonie Breisgau) byli w ubiegłym roku świadkami następującej sceny: miejscowi lewicowcy, którzy zorganizowali przed kinem „Union" wiec protestacyjny przeciwko projekcji filmu „Europa w ogniu", wyraźnie sympatyzującego z nazistowską ideologią, zostali wciągnięci do bójki z inną grupą demonstrantów. Jak później wyjaśniła policja, widzowie tego filmu, w większości ludzie młodzi, należeli do zorganizowanej grupy bojowej, która prowadziła aktywną agitację „idei narodowej".

W mieście Buchholz, leżącym w rejonie dolnosaksońskiego pustkowia, podobne zajście wydarzyło się w miejscu zamkniętym. Tam właśnie, na zaproszenie miejscowej organizacji Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD) występowała Haidemarie Wieczorek — Zoil, przewodnicząca Federalnego Zarządu Młodych Socjalistów, organizacji obejmującej członków SPD poniżej 35 lat. Prawicowi radykałowie przeszkodzili w zebraniu i zagrozili przewodniczącej Zoil: „Znajdzie się u nas jeszcze kula i dla ciebie".

W Pinnebergu (kraj związkowy Holsztyn) obiektem napaści była organizacja Młodzieży Ewangelickiej, która urządziła w miejscowym gimnazjum dyskusję, z udziałem byłych więźniów obozów koncentracyjnych, na temat wydarzeń z okresu władzy nazistów. Młodzi prawicowcy pozrywali wywieszone na ścianach fotogramy z obozu w Oświęcimu, wszczęli burdę, a jednemu z byłych więźniów powiedzieli publicznie: „Już wtedy należało ciebie wykończyć".

Wystąpienia prawicowców w Pinnebergu, Buchholzu i Freiburgu — pisze komentator polityczny tygodnika „Der Spiegel" — wstrząsnęły opinią publiczną. „Jeśli by opowiedzieć, cośmy tutaj widzieli i słyszeli, nikt by nam nie uwierzył" — powiedział członek miejskiego zarządu Hamburga, poseł z ramienia Wolnej Partii Demokratycznej (FDP) — Gerhard Weber, uczestnik dyskusji zorganizowanej przez Młodzież Ewangelicką w Pinnebergu. Jeden z duchownych, także naoczny świadek tego wydarzenia, doznał szoku: „Epitety, groźby, łajanie... Czułem, jak ciarki chodzą mi po skórze... Nie jestem w stanie powiedzieć słowa"...

Zjawisko które duchownemu odebrało mowę już od kilku miesięcy coraz bardziej absorbuje zachodnioniemieckich polityków oraz policję, szczególnie na prowincji. Chociaż tradycyjny prawicowy ekstremizm w postaci neonazistowskiej NPD (Narodowo-Demokratycznej Partii Niemiec, obecnie w jej szeregach pozostało ponoć zaledwie 11,500 członków) „dawno już stracił jakąkolwiek wagę polityczną", to jednak — jak wynika z ostatniego sprawozdania Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji (policji politycznej RFN) — coraz częściej dają o sobie znać drobne kółka neonazistowskie, które minister spraw wewnętrznych rządu RFN uważa za „ogniska zagrożenia".

Wraz z pozostałościami tradycyjnych „brunatnych" ugrupowań z ich wielkogermańskim szowinizmem i militaryzmem, od pewnego czasu zaczęły się coraz wyraźniej zarysowywać kontury ruchu, który przyjął nazwę „nowych prawicowców" i znajduje niemało stronników wśród młodzieży szkolnej i studentów. Nawet chrześcijańscy demokraci, którzy stoją u steru władzy w kraju związkowym Nadrenia-Palatynat, musieli przyznać, iż wśród młodzieży „znów obserwuje się" prawicowy ekstremizm.

Istotnie, ostatnimi laty, kiedy anarchiści i terroryści, grabiąc banki i podrzucając bomby, przykuwali powszechną uwagę, po drugiej stronie politycznego bieguna uformował się nurt mało dotąd dostrzegany. W opublikowanej niedawno rozprawie „Ideologia i organizacja nowych prawicowców" — Günther Barsch, specjalista z zakresu historii współczesnej w wyższej szkole pedagogicznej w Bielefeld, sięga do źródeł i pierwszych kroków tego nurtu. Barsch zauważa: „Jeśli nawet ktoś i zwrócił na nich uwagę, to odniósł wrażenie, jakby przed oczami przemknął mu cień lewaków".

Rzecz w tym, iż zewnętrzne przejawy tej odmiany ekstremizmu mają mało cech wspólnych ze „starym" nazizmem czy narodowymi demokratami niedawnej przeszłości; niektórzy spośród „nowych prawicowców" wolą, na przykład, nosić dżinsy i długie włosy, i nawet niekiedy uchodzą, jak stwierdził Barsch, za „lewicowych radykałów" czy „anarchistów". Jest to kamuflaż znamienny także dla metod propagandy nowego „ruchu", którego ideolodzy zrozumieli, iż pogrążony w przeszłości narodowy socjalizm jest „przegniłym konarem, na którym nikt nie może usiąść nie ryzykując „skręcenia karku" — jak określił to Barsch. Bojownicy nowego „ruchu" gorączkowo próbują przyoblec faszystowską ideologię we współczesny kształt frazeologiczny.

Ów „ruch" dał o sobie znać w RFN w końcu 1971 roku i początkach 1972, kiedy nastąpił rozłam w Narodowo-Demokratycznej Partii Niemiec (NPD). Wtedy to bardziej radykalne skrzydło, na czele z Zygfrydem Poelmanem, ówczesnym zastępcą lidera NPD, Adolfa von Thaddena, opuściło partię, żeby stworzyć organizację pn. „Akcja nowej prawicy". „Zebrali się tam ci „polityczni gangsterzy" (jak pisała wówczas gazeta „Süddeutsche Zeitung"), dla których stronnicy Thaddena, wierni tradycjom, byli „mięczakami". Znaleźli się tam także „lewicowi" nacjonaliści, dla których NPD była „zbyt prokapitalistyczna".

Wielu obserwatorów sądziło, iż wychodząc z NPD ugrupowania te przestaną wkrótce odgrywać jakąkolwiek rolę. Przypuszczenia te okazały się błędne. Ci tzw. „narodowi rewolucjoniści" zeszli do podziemia i używając metod konspiracyjnych stworzyli sporo punktów oporu, o istnieniu których nie wie częstokroć nawet wszechobecny boński Urząd Ochrony Konstytucji.

W skali RFN, najsilniejsze skrzydło neonacjonalistów uformowało się w organizację 1 września 1974 roku we Frankenbergu (kraj związkowy Hesja), gdzie w tajemnicy przed społeczeństwem założono organizację pn. „Sprawą narodu — narodoworewolucyjna organizacja odrodzenia". Sądząc po „manifeście" tej organizacji, przypomina ona ideologię wczesnego narodowego socjalizmu. Przywódcy młodych nacjonalistów ukrywają się pod pseudonimami. „Niektórzy z nich zajmują wysokie stanowiska w urzędach" — pisze Barsch.

Podobnie jak „rada naczelna" z siedzibą w Monachium, terenowe organizacje „nowych prawicowców" ukrywają zazwyczaj swoje adresy, używając kodów pocztowych. Nawiasem mówiąc „Sprawa narodu" — w żargonie nowych prawicowców nazywana po prostu „Organizacją" — odgrodziła się od społeczeństwa swego rodzaju statutem. Jej członkiem może zostać tylko ten, kto w przeciągu 6 miesięcy uczęszczał na specjalne „kursy, ściśle przestrzegając dyscypliny", płacił składki i przyswoił sobie „wszystkie niezbędne materiały szkoleniowe". „Organizację" propaguje gazeta „Rebell" (Buntownik), ukazująca się raz na kwartał w nakładzie 12 tys. egzemplarzy oraz specjalny organ przeznaczony dla „kadry kierowniczej", pod nazwą „Ideologia i strategia", ukazujący się również raz na kwartał w nakładzie tysiąca egzemplarzy. W publikacjach innych frakcji „nowych prawicowców" drukuje się nawet pieśni, a w ich liczbie „Pieśń buntu" z takim oto refrenem: „Politycy ględzą dzień i noc, a my bierzemy na muszkę czerwone draństwo".

Podobne „kuplety" należy brać poważnie, o czym świadczą przede wszystkim międzynarodowe kontakty, nawiązane przez „führerów" zachodnioniemieckich „nowych prawicowców". Spotykają się oni z włoskimi neofaszystami, którzy już od lat terroryzują kraj wybuchami bomb. Solidaryzują się z zakazaną we Francji organizacją „Ordre nouveau" (Nowy porządek) i temu podobnymi ugrupowaniami, z którymi łączy ich, jak głoszą ulotki, „walka przeciwko imperializmowi dolara, brytyjskiej dyplomacji kanonierek i sowieckiemu bolszewizmowi". Co prawda, zachodnioniemieccy „narodowi socjaliści" uważają, że ich czas jeszcze nie nadszedł. Jednakże jeden z liderów „nowych prawicowców" oświadczył na inauguracyjnej konferencji we Frankenbergu: „Jedno jest jasne — atakować może tylko ten, kto przygotowuje się do ataku. Dlatego organizacja „Sprawa narodu" jest nam potrzebna już teraz".

Na razie ideolodzy „nowych prawicowców" w swoich publicznych wystąpieniach mówią tylko w zawoalowanej formie o konieczności użycia siły. Wzywają na przykład do „sprzeciwiania się siłą świniom godzącym się na istnienie dwóch państw niemieckich". Odnosi się wrażenie iż prawicowi radykałowie RFN chcą, by skandaliczne akcje terrorystyczne szły na razie na rachunek anarchistów, bowiem bomby lewackich ekstremistów są najlepszą metodą, jak sądzą, do skierowania społeczeństwa zachodnioniemieckiego w prawo.

Swoją działalność „nowi prawicowcy" zamierzają skierować przede wszystkim przeciwko stronnikom „bońskich bonzów", którzy — wedle kanonów zadziwiającej ideologii „nowych prawicowców" — są albo poplecznikami Kremla, albo — i tutaj ci ideolodzy z bożej łaski różnią się w opinii — poplecznikami amerykańskiego kapitału. Ale tak czy inaczej — poplecznikami... Jednocześnie „narodowi socjaliści" wyrozumiale odnoszą się do swoich antypodów — lewicowych ekstremistów, a ściślej mówiąc — do licznych grup maoistowskich. Ponieważ wojujący stronnicy Mao i „nowi prawicowcy", jak podkreślono to już w 1973 roku w jednym z numerów „Ideologii i strategii", mają wspólne punkty styczne w sferze ideologii...

Tak więc, mimo wyraźnego żądania społeczeństwa RFN o niedopuszczenie do odrodzenia faszyzmu, mimo wielokrotnych politycznych porażek, neonaziści nadal prowadzą działalność wywrotową w Zachodnich Niemczech. Dziś, wielu z nich ukazuje oblicze „narodowych rewolucjonistów" lub „narodowych socjalistów", ale ze zmianą szyldu nie zmienia się jednak „brunatna" treść prawicowych ekstremistów".

JERZY CZECH

■ Oczy świata zwrócone na Moskwę
■ CDU/CSU na starych pozycjach
■ Nowe stadium „wojny dorszowej"

W chwili, gdy ten numer „Odgłosów" znajdzie się w rękach Czytelników, **w Moskwie toczyć się będą obrady XXV Zjazdu KPZR. Jest to,** jak już pisaliśmy na tym miejscu, **wydarzenie międzynarodowej najwyższej rangi.** Z polityką wewnętrzną ZSRR, której na Zjeździe poświęci się na pewno najwięcej uwagi, zespolona jest bowiem nierozerwalnie polityka zagraniczna. Ta zaś spowodowała, że na świecie powszechne jest przekonanie o poprawianiu się sytuacji międzynarodowej. Do normalizowania stosunków między państwami i wyboru drogi pokojowego współistnienia Związek Radziecki nawoływał jeszcze w latach zimnej wojny. Trzeba było jednakże czasu, aby uwierzono w szczerość radzieckich intencji. **Zarysowany z rozmachem program pokoju na XXIV Zjeździe KPZR swą sugestywnością przyczynił się do obezwładnienia wielu ośrodków antypokojowych, a grad inicjatyw zmusił Zachód do dialogu.** Tak rozpoczął się okres odprężenia, którego dobroczynne skutki odczuwają różne kontynenty.

Przypomnienie tego właśnie w dniach obrad XXV Zjazdu KPZR jest celowe choćby dlatego, że niekiedy, na Zachodzie, nie chce się pamiętać, iż **podwaliny współpracy międzynarodowej położone zostały przez ZSRR.**

Zjazdy KPZR są zawsze źródłem dużych doświadczeń politycznych i spełniają programującą rolę w walce o pokój. Z tych względów zainteresowanie ich przebiegiem i decyzjami jest powszechne. Tym razem jest ono jeszcze spotęgowane faktem, że jest to **pierwszy zjazd po Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie,** którą trzeba przecież uznać za najdonioślejsze wydarzenie okresu powojennego.

Wreszcie należy podkreślić i to, że na zjeździe spotykają się delegacje partii z różnych kontynentów potężniejącego z roku na rok międzynarodowego ruchu komunistycznego i robotniczego. Jest więc okazja do rozmów i wymiany doświadczeń.

Z tych wszystkich powodów **oczy świata zwrócone są w końcowych dniach lutego na Moskwę.**

Koniec ub. tygodnia przyniósł **debatę w Bundestagu na temat porozumień z Polską.** Z pakietu uzgodnień, osiągniętych w czasie rozmowy Edwarda Gierka z Helmutem Schmidtem w Helsinkach, a następnie podpisanych w Warszawie, ratyfikacji wymaga tylko umowa o zaopatrzeniu emerytalnym i wypadkowym. Jest jednak rzeczą zrozumiałą, iż wobec krytycznej oceny porozumień przez chadecką opozycję debata koncentrowała się na wszystkich problemach. **Ostatecznie Bundestag ratyfikował porozumienie 276 głosami** — przy 191 deputowanych wypowiadających się przeciwko. Do większości rządowej głosami poparcia przyłączyło się 14 deputowanych CDU/CSU — pozostali zajęli stanowisko określone przez kierownictwo opozycji. **Umowa o zaopatrzeniu emerytalnym wymaga jeszcze akceptacji drugiej izby parlamentu — Bundestratu.** Debata na ten temat podjęta zostanie 12 marca. Przypomnijmy, że w Bundesracie opozycja ma większość.

Tuż po głosowaniu w Bundestagu **kanclerz Schmidt oświadczył na konferencji prasowej, że będzie dokładał wszelkich starań, aby porozumienia zostały zatwierdzone, a droga do ich realizacji otwarta.**

Koalicja rządowa i opozycja zajmują odmienne stanowiska co do międzynarodowego i wewnętrznego znaczenia porozumień z Polską. CDU/CSU głosi, że nie jest przeciwna pojednaniu, jednakże kwestionuje treść porozumień. **W istocie staje więc na pozycjach antyodprężeniowych.** Przypomnijmy sobie, że uzgodnione w Helsinkach zasady dalszej normalizacji stosunków Polska — RFN powitane zostały przez uczestników Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy jako dwustronny przejaw dobrej woli i konkretny wkład w realizację Aktu Końcowego. Międzynarodowa społeczność uznała zatem szerszy niż tylko bilateralny sens tych porozumień. I tak jest naprawdę. Czy tego nie rozumie opozycja? Trudno ją o to posądzać. Jej „nie" można przeto interpretować tylko jako świadome przeciwstawianie się odprężeniu.

Realistycznie myślący politycy bońscy w ewentualności odrzucenia porozumień widzą **dla RFN realne niebezpieczeństwo — wejścia w izolację.** Stawka debaty w Bundesracie jest więc wysoka, większa niż tylko ułożenie stosunków z Polską.

W ostatnich dniach agencje przyniosły informację **o zerwaniu przez Islandię stosunków dyplomatycznych z W. Brytanią.** „Wojna dorszowa" weszła w nowe stadium.

Decyzja rządu islandzkiego jest protestem przeciwko łowieniu przez brytyjskie kutry (chronione zresztą przez okręty wojenne) ryb na wodach w pasie bliższym niż 200 mil morskich od wybrzeży. Spór o to toczy się już wiele lat i nabrał dużego politycznego znaczenia. Aby nie prowadzić w „atlantyckiej rodzinie" do głębokich rozdźwięków z inicjatywy państw NATO doszło niedawno do spotkania premierów rządów brytyjskiego i islandzkiego. Mediacje zakończyły się jednak niczym. Dlatego też Islandia sięgnęła po drastyczny środek — zerwanie stosunków dyplomatycznych.

Niezależnie od tego, co nastąpi teraz (W. Brytania dała do zrozumienia, iż gotowa jest wznowić rokowania) — **wydarzenie w stosunkach między państwami NATO jest bezprecedensowe i może przynieść głębokie polityczne następstwa.**

W. SŁAWSKI

ANDRZEJ BLAJER

KANAŁ: BERLIN — BERNO

Początek zapowiadał się obiecująco. Po spotkaniu z kurierem Dulles pozostał jeszcze w mieszkaniu Mayera. Obaj aż do świtu analizowali treść dokumentów pozostawionych przez George'a Wodda i selekcjonowali zawarte w nich informacje pod względem ważności. Wiadomości były rzeczywiście rewelacyjne. Mimo początkowych obaw postanowili jednak spróbować wykorzystać szansę, jaka im się nadarzyła i przetelegrafować treść niektórych meldunków do Waszyngtonu. Toteż jeszcze tego samego dnia do kwatery głównej OSS — Urzędu Służb Strategicznych popłynęły zaszyfrowane informacje, które Dulles uzyskał od niemieckiego kuriera dyplomatycznego. W swym raporcie szef misji dyplomatycznej w Bernie prosił o możliwie szybką ich weryfikację oraz o wyrażenie zgody na dalsze kontakty z kurierem noszącym pseudonim „George Wood".

Tymczasem Wood już od kilku godzin znajdował się w pociągu podążającym do Berlina. Siedząc wygodnie w komfortowym przedziale I klasy odzyskiwał równowagę po owym pełnym napięcia i emocji nocnym spotkaniu z Amerykanami. W myślach dokonywał rekapitulacji faktów. Opuścił Berlin cztery dni temu. W międzyczasie spał tylko kilka godzin. Mimo to zupełnie nie odczuwał zmęczenia. Łyk swobody i wolności, który zaczerpnął w Szwajcarii, podziałał upajająco. Po tylu latach rządów Hitlera zdołał już zapomnieć, że życie może wyglądać inaczej. Wyprawa w góry na narty, spacery po Bernie i okolicach, wizyty u przyjaciół — Wood w zadumie snuł wspomnienia z tych czterech dni wolności. I to najważniejsze — spotkanie z Amerykanami. Wood zamyślił się głębiej. Prawdę mówiąc niczego mu nie obiecali. On zaś zdawał sobie sprawę z ogromnego ryzyka w obliczu którego się znalazł. Odwrotu być nie mogło — wiedział o tym doskonale. Zresztą po tak długim oczekiwaniu dokonanie pierwszego kroku jest najbardziej trudne.

Pogrążony w rozmyślaniach Wood spojrzał w okno. Widok, który ujrzał, brutalnie wyrwał go z etargu. Pociąg powoli wjeżdżał na dworzec berliński. Choć było już późne popołudnie, Wood udał się wprost z dworca do swojego biura na Wilhelmstrasse. Wiedział doskonale, że w jego zachowaniu i sposobie bycia nikt nie powinien zauważyć jakiejkolwiek zmiany, o ile nie chce, by odkryto prawdziwy cel jego działalności. Toteż zaraz po przybyciu do biura zamknął się w swoim pokoju i energicznie przystąpił do czekającej nań pracy. Najmniejsze rozluźnienie dyscypliny mogło bowiem komuś nasunąć jakieś podejrzenia, a to byłoby dlań fatalne w skutkach. Nigdy i nikomu nie zwierzał się z tego, co naprawdę odczuwał wobec reżimu hitlerowskiego. Nawet z bliskimi przyjaciółmi i znajomymi, którzy, być może, podobnie jak on sprzeciwiali się istniejącemu porządkowi, nie wymieniał poglądów na ten temat.

Był już późny wieczór, gdy Wood opuścił biuro i udał się do domu. Szedł nie spiesząc się. Choć bombardowania Berlina uległy w ostatnim okresie znacznemu nasileniu, życie wokół toczyło się tak jak dawniej. Kiedy wreszcie przekroczył próg swojej willi, uderzyła go ponura szarzyzna, której nigdy dotąd nie zauważał. Znalazłszy się w gabinecie, dostrzegł na biurku kopertę zaadresowaną na swoje nazwisko. Otworzył ją i wyjął niewielką kartkę. Gdy zaczął czytać jej treść na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego zaniepokojenia. Z treści wynikało, że zaraz po powrocie ma się stawić w biurze oficera do spraw bezpieczeństwa przy MSZ. Wood mimo woli wzdrygnął się, poczuł zimny dreszcz na swoich plecach. Czyżby więc już został zdemaskowany? — pomyślał z lękiem.

Następnego dnia rano, zgodnie z poleceniem, zjawił się w gabinecie szefa SD w ministerstwie. Za biurkiem siedział oficer w mundurze SS. Z jego bladej twarzy Wood starał się wyczytać cel swojej wizyty. Oblicze oficera było jednak nieprzeniknione. Głęboko osadzone oczy SS-mana spojrzały nań zimno podejrzliwie. „Heil Hitler!" — „Heil!" — odpowiedział beznamiętnym głosem funkcjonariusz SD. „Niech pan siada" — zwrócił się do stojącego przed biurkiem Wooda. Sam siedział sztywno na krześle i patrzył na trzymany w ręku telegram. „A więc był pan w Bernie, w misji dyplomatycznej?" — zapytał tym samym stłumionym głosem. „Tak jest" — odpowiedział szybko Wood. „Otóż ustaliliśmy, że był pan nieobecny w hotelu „Terminus" przez prawie całą noc z 23 na 24 sierpnia". „Zgadza się" — odpowiedział Wood z zimnym uśmiechem na twarzy. — „Czasem odczuwa się potrzebę pewnego odprężenia. A wie pan zapewne, jak to jest, gdy człowiek znajdzie się w obcym mieście i do tego za granicą. Kilka kieliszków w barze, towarzystwo, młodej, ładnej kobiety..." „Dość nieostrożne, jak na kuriera dyplomatycznego, a poza tym — wcale nie musi być prawdą" — przerwał oficer SD. „Przyznaję, że miałem wyrzuty sumienia z tego powodu i obiecuję być na przyszłość ostrożniejszy" — odrzekł Wood, po czym wyjął z portfela niewielką karteczkę i położył ją na biurku SS-mana. Ten chwycił ją w rękę i szybko przeczytał treść. Było to zaświadczenie wystawione przez berneńskiego lekarza, z którego wynikało, że Wood przebywał u niego w ciągu owej nocy 24 sierpnia, gdzie aż do rana lekarz przeprowadzał mu badania krwi. „No, tak — odrzekł po chwili inkwizytor w mundurze SS — niby wszystko jest w porządku, na przyszłość jednak niech pan nie traci swego czasu w ten sposób".

W ciągu następnych kilku tygodni Wood prawie bez przerwy przebywał w ministerstwie. Pracy było bardzo dużo. Sortując otrzymywane dokumenty myślał o tym, jak cenne byłyby one dla aliantów. Chwilowo nie mógł jednak podjąć próby skontaktowania się z Mayerem. Zachowując daleko posuniętą ostrożność sporządzał niekiedy krótkie notatki stenograficzne z dokumentów szczególnej wagi. Czasami, zwłaszcza, kiedy niszczono część tajnych akt zatrzymywał niektóre dokumenty, lub je kopiował. Nie mógł oczywiście trzymać tych niebezpiecznych materiałów w swoim biurze lub w mieszkaniu, nosił je więc zawsze przy sobie, a później umieszczał w tajnej skrytce. Pod koniec października 1943 roku Wood doszedł do wniosku, iż w Hiszpanii i Irlandii mogą niebawem nastąpić wydarzenia, które z pewnością zainteresują aliantów. Zaczął więc odczuwać naglącą potrzebę odbycia kolejnej podróży celem spotkania się z Amerykanami. Tym razem szczęście uśmiechnęło się do niego. Zupełnie nieoczekiwanie dowiedział się, że znów ma pojechać w podróż dyplomatyczną jako kurier i to właśnie do Berna. A więc los mu sprzyja.

Niewiele jednak brakowało, aby w przeddzień swojego wyjazdu do Szwajcarii omal nie stracił życia. Otóż Wood nie znosił schronów przeciwlotniczych, czuł się w nich bowiem jak w pułapce. Będąc funkcjonariuszem ministerstwa, posiadał specjalną przepustkę, która pozwalała mu przebywać na terenie biura w czasie alarmu. Owej nocy rozmawiał przy wyjściu z jedną ze swoich znajomych. Nagle rozległy się syreny obwieszczające kolejny nalot brytyjskich bombowców. W oddali słychać już było głuche detonacje bomb. Nie rozległ się jeszcze sygnał o odwołaniu alarmu, kiedy Wood postanowił opuścić ministerstwo i wyszedł na Unter den Linden. Dochodził właśnie do rogu Wilhelmstrasse, gdy nagle usłyszał za sobą ostry głos strażnika: „Proszę natychmiast opuścić ulicę!" Wood zdążył wyciągnąć swoją przepustkę i podejść do strażnika, gdy nagle bomba z opóźnionym zapłonem wybuchła o pięćdziesiąt metrów od niego. Siła eksplozji była tak duża, iż wywróciła jego i strażnika na ziemię. Po chwili podniósł się, brudny i obsypany pyłem, ale za to nietknięty odłamkami.

Tak, jak poprzednio, starannie przygotowywał się do podróży. Tym razem jednak uznał, że przewożenie tajnych dokumentów ukrytych pod kolanem jest dość ryzykowne. Postanowił więc użyć innego sposobu. I oto wpadł na pomysł, iż może skorzystać z zalakowanej koperty kurierskiej. Toteż umieścił owe dokumenty, wraz z pocztą dyplomatyczną, w drugiej, większej kopercie, którą następnie zapieczętował. Podróż przebiegała pod znakiem silnych bombardowań lotniczych i raz pociąg omal nie został trafiony bombami. Wreszcie, po licznych przygodach, Wood dotarł z blisko dobowym opóźnieniem do stacji granicznej w Bazylei. Na Dworcu Badeńskim (po stronie niemieckiej) miała miejsce kontrola celna i paszportowa. Pomimo, iż tym razem skrytka wydawała się być pewniejsza, Wood z niepokojem oczekiwał kontroli. Ta jednak przebiegła bez kłopotu i niebawem kurier mógł się udać w dalszą drogę. Wsiadł więc w taksówkę i pojechał na dworzec Schweizer Bundes Bahnhof, po drugiej stronie Renu, skąd odjeżdżał pociąg do Berna. Gdy przybył do stolicy Szwajcarii, pierwsze swe kroki skierował do siedziby poselstwa III Rzeszy, aby spełnić misję dyplomatyczną, którą mu powierzono w Berlinie. Następnie zatelefonował do swego przyjaciela, dra Browna, aby umówić się z nim na spotkanie. Już w niespełna dwie godziny później dr Brown informował Wooda o wynikach weryfikacji, jakiej Amerykanie poddali otrzymane poprzednio dokumenty. Z jego słów wynikało, że z wielką niecierpliwością oczekują oni ponownego spotkania z berlińskim kurierem. Miało do niego dojść jeszcze tej nocy, w dzielnicy Kirchenfeld, na moście nad rzeką Aare. O godzinie 23.30 miał tam oczekiwać Niemców samochód marki „Triumph", zaś znakiem rozpoznawczym miał być sygnał świetlny dany przez kierowcę.

Punktualnie o ustalonej godzinie Wood pojawił się na miejscu spotkania. Tak, jak było umówione, po chwili zobaczył sygnały reflektorów samochodu stojącego na środku mostu. Wood zbliżył się do wozu i zobaczył w nim znajomą twarz. Był to Gerald Mayer. Po kilku słowach powitania Mayer polecił kurierowi, aby zaraz udał się do domu Dullesa drogą przez ogród, sam zaś miał tam przybyć z innego kierunku i dopiero po pewnym czasie. Gdy wszyscy znaleźli się już w willi posła amerykańskiego, Wood przystąpił do przekazania Amerykanom najświeższych wiadomości. Wiele z nich miało dla aliantów bardzo dużą wartość, jak choćby informacja o istnieniu w Dublinie, w niemieckim poselstwie, nadajnika, który zakłóca łączność okrętów flot sojuszniczych. (Później, w następstwie amerykańskiej interwencji, Niemcy musieli zlikwidować ów nadajnik, niebawem jednak Wood dostarczył wiadomość, że mają oni zamiar ponownie go zainstalować).

Niezwykle cenną była również depesza wysłana do Ministerstwa Spraw Zagranicznych z Madrytu, a informująca, że „wysyłka pomarańcz jest kontynuowana zgodnie z ustalonym programem". Wood ustalił, że owymi pomarańczami był po prostu wolfram. Najbardziej niepokojąca była jednak wiadomość, która nadeszła do Berlina tuż przed wyjazdem Wooda do Szwajcarii. Oto bowiem ambasada Rzeszy w Buenos Aires donosiła o wysłaniu z Argentyny do Europy silnego konwoju z materiałem wojennym. Dzięki tym informacjom Amerykanie mogli na czas przedsięwziąć odpowiednie środki, aby pokrzyżować niemieckie plany, co na przykład znalazło wyraz w postaci embarga, jakie nałożono na dostawy ropy naftowej do Hiszpanii, o ile będzie ona nadal wysyłała do Niemiec wolfram. Aby zapewnić sobie stały i skuteczny dopływ informacji, Amerykanie uzgodnili z Woodem sposób komunikowania się. Polegał on na tym, że Wood będzie przekazywał najważniejsze wiadomości w formie kart z życzeniami bądź listów adresowanych do przyrodniego brata dra Browna, który mieszkał w Zurychu. O ile informacje trafią do właściwego adresata, Brown potwierdzi ich odbiór wysyłając do Berlina paczkę z żywnością zawierającą sardynki, masło, kawę itd. Przesyłki miały być wysyłane regularnie, przy czym kawa miała w nich znajdować się tylko wówczas, gdy właśnie otrzymywano informacje od Wooda. Jeszcze przed swoim wyjazdem do Niemiec kurier z Berlina prosił Amerykanów o dostarczenie mu dwóch rzeczy: miniaturowego aparatu fotograficznego do mikrofilmowania dokumentów oraz rewolweru. To pierwsze życzenie zostało spełnione już następnego dnia, zaś co do drugiego Mayer był zdania, że broń mogłaby się stać dowodem zdrady Wooda i lepiej jej nie zabierać.

Przez całą zimę 1943/44 paczki nadsyłane do Berlina ze Szwajcarii zawierały kawę. Znaczyło to, że informacje docierają bez przeszkód do właściwego adresata. W tym okresie Wood odnalazł przypadkowo swego dawnego kolegę, który obecnie pełnił podobną służbę jak on sam, tyle że w Hiszpanii. Postanowił więc nawiązać z nim bliższy kontakt, podobnie jak ze znajomym z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który po licznych zatargach z funkcjonariuszami NSDAP musiał opuścić miejsce swojej pracy.

Od tego momentu tajny kanał informacyjny Berlin — Berno dostarczał jeszcze więcej cennych informacji do kwatery OSS w Szwajcarii, m.in. odnośnie produkcji wojennej Rzeszy, skuteczności bombardowań alianckich oraz sojuszników Niemiec, a zwłaszcza Japonii. Jak bowiem wynika z książki Allena Dullesa „Great true spy stories", wydanej w 1968 roku, ów agent o pseudonimie George Wood dostarczył Amerykanom bardzo dokładne dane dotyczące działań i orgnizacji floty japońskiej, które zostały w pełni wykorzystane przez dowództwo marynarki USA będące w posiadaniu japońskiego szyfru morskiego.

Z początkiem czerwca 1944 roku w działalności George'a Wooda nastąpiła nagła przerwa. W Bernie początkowo sądzono, że Wood mógł także paść ofiarą represji, jakie miały miejsce w Niemczech po nieudanym zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 roku. Mayer był przekonany, że Wood został zdemaskowany i rozstrzelany. Jakież więc było zdziwienie Amerykanów, gdy pod koniec września 1944 roku otrzymali od niego wiadomość, że żyje i znów może przystąpić do pracy. I tak oto, aż do końca wojny, napływały do Berna z Berlina niezwykle cenne meldunki i depesze pozwalające Amerykanom doskonale orientować się w poczynaniach Ministerstwa Spraw Zagranicznych III Rzeszy.

WACŁAW KONDEK

DUCHY Z LUDZKIMI CECHAMI

Dalszy ciąg ze str. 10

Wacław Kondek miał oczywiście kilka tematów obsesyjnych, ale miał także bardzo oryginalny sposób na pokazanie ich, na przekazanie publiczności swojego myślenia. Ci, którzy odczuwali niedosyt formalny w jego pracach, nie mogli nie uznać jego wysokich umiejętności warsztatowych. Rysował, malował, rzeźbił z ogromną pasją i wiarą, że to co chce powiedzieć i jak, jest niezmiernie ważne. Jego twórczość jest opowieścią człowieka wrażliwego na wszystko co go otacza, jest także — a może przede wszystkim — refleksją czasem smutną, człowieka myślącego, nad życiem. Te liryczne, nieco bajkowe obrazki i rysunki są rejestracją autentycznych przeżyć i myśli autora.

W pejzaż wielkomiejski wpisze Kondek absurdalny domek z bajki, w sielski widoczek wsi, zjawę z koszmarnego snu. Artysta unikał jednoznaczności — nic nie jest ani tak dobre ani tak złe jakbyśmy sądzili po pierwszym, pobieżnym oglądzie. Niezwykle dekoracyjne i precyzyjnie wykonane malowanki na deskach doskonale pełnią funkcje zdobnicze. Można je zawiesić wszędzie, ale po chwili refleksji, po dokładnym przyjrzeniu się owym malowankom dojdziemy do wniosku, że jest w nich sporo ironii. Kondek nie buduje dla nas różowego świata nawet, jeśli chce nas ucieszyć barwnym obrazkiem. Świadomie proponuje nam chwilę marzeń, chwilę relaksu od codziennych trosk, ale jednocześnie nie pozwala zapomnieć o rzeczywistości. Łatwość z jaką artysta potrafił nawiązać kontakt z odbiorcą jest godna pozazdroszczenia, każdy z jego bogatej twórczości może wybrać coś dla siebie, zaakceptować jakieś fragmenty krajobrazu, kilka portretów, ale całość cyklu wymaga od odbiorcy pełnej akceptacji świata wyobraźni autora. Wymaga zgody na jego widzenie, jego myślenie. Może dlatego tak łatwo było mi zapamiętać obrazy i grafikę Kondka. Musiałem albo iść jego tropem, towarzyszyć mu w jego wędrówkach albo zrezygnować, wycofać się po obejrzeniu kilku rysunków.

Wacław Kondek, jeśli mu się już zawierzyło, odkrywał przed nami niezwykły świat i nie sposób było patrzeć na jego prace obojętnie. Artysta zostawiał widzowi dwie możliwości: uczestczyć z nim w ciekawej przygodzie, albo pozostać w domu, wśród swoich spraw codziennych. Uczestnictwo wymagało przede wszystkim dobrej woli, artysta zachęcał, proponował ścieżki i drogi i jakby czekał, jakby oglądał się za siebie: czy już zdecydowaliśmy się? I na jaką drogę czy ścieżkę? Jeśli bawił nas świat ludowej wyobraźni wysnuty z zasłyszanych legend, Kondek malował dla nas opowieści i przypowiastki i zaludniał je postaciami z jarmarcznego teatrzyku, tylko że te kukiełki z bajek miały „prawdziwe" twarze z wypisanymi na nich przeżyciami. Z bólem, radością, smutkiem. Jeśli mielibyśmy ochotę wyrwać się chociażby na kilka chwil z przemysłowego miasta, Wacław Kondek proponował nam podróż na wieś, ale nie nad ruczaj i w kwitnące sady, tylko do starych walących się chałup tak romantycznych, że tylko duchy mogły czuć się w nich swobodnie. Duchy, zjawy Kondek personifikował i kazał im, czy też obdarzał je, całkiem ludzkimi przypadłościami. Duchy bały się np. głodu, zimna, były towarzyskie a czasem beztrosko żartobliwe.

Metaforyka Wacława Kondka była zawsze zrozumiała, prosta. Kompozycje obrazów pomysłowe, ale bez udziwnień formalnych. Artysta nie wstydził się opowiadać o sobie, o swoich bliskich, chętnie — w swojej twórczości — zwierzał się z trosk i niepokojów, ale równie chętnie dzielił się radością. A jako kronikarz zabytków Łodzi okazał się dokumentalistą niezrównanym, potrafił dostrzec więcej od kamery i zapisać rysunkiem nie tylko kształt ale i nastrój łódzkich budowli, ulic.

Wiele jego prac jest rozproszonych po muzeach, urzędach, wiele jego prac odnaleźć można by w kolekcjach prywatnych. Kończąc tych kilka uwag o twórczości jednego z najwybitniejszych plastyków Łodzi, chciałbym wyrazić nadzieję, że niedługo czekać będziemy na retrospektywną wystawę jego bogatej twórczości. Może Muzeum Sztuki podejmie się tego trudu?

STEFAN KUBICKI

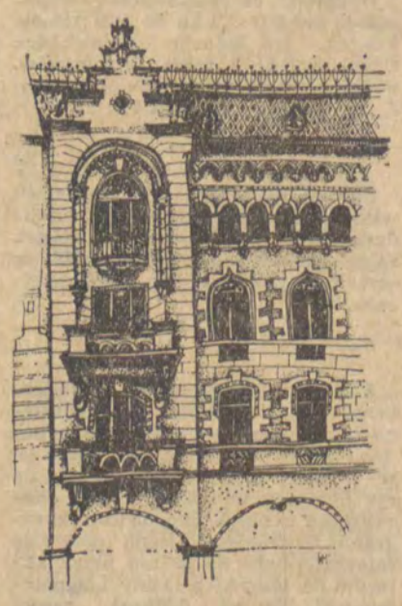

Rys. W. Kondek

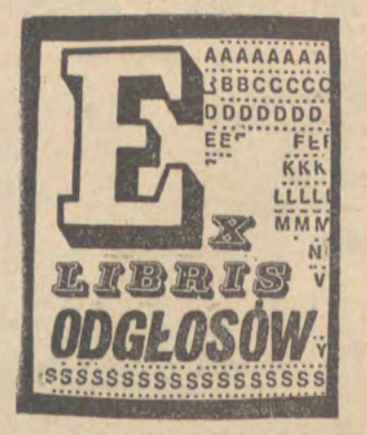

KTT

Państwowy Instytut Wydawniczy wydał piąty już tom felietonów KTT czyli Krzysztofa Teodora Teoplitza. Pierwszym było „Co ma wisieć — nie utonie", drugim „Śniadanie ludożercy", trzecim — „Pies w studni", czwartym — „Berek kucany" i piątym — „Opakowanie zastępcze".

„Należę do ludzi, którzy pamiętają jeszcze czasy — napisał **KTT w tytułowym felietonie** — kiedy to kupowało się pewne produkty nie tyle dla ich niesłychanej jakości, ile dla ich opakowań..." **Dziś króluje wszędzie opakowanie zastępcze.**

Tytuł tego felietonu, jak i jego treść nasunęły wydawcy znakomity pomysł. Piąty zbiór felietonów KTT ukazał się również w... opakowaniu zastępczym. „Sam tego chciałeś..." — powiedział PIW do KTT i wydał książkę na papierze pakowym brązowym. Okładka i obwoluta też sugerują, że jest to wszystko tymczasowe, zastępcze, sznurkiem przewiązane, aby się tylko jakoś kupy trzymało.

A kupy to się trzyma znakomicie. Felietony KTT od lat budzą zainteresowanie. Czyta się z tygodnia na tydzień, zapomina, aby można było potem w zbiorze jeszcze raz powrócić do lektury.

„Wie pan — **cytuje we wstępie KTT słowa ludzi, którzy z własnej woli je wygłaszają** — przejrzałem sobie ponownie pańskie felietony; to się nawet całkiem ciekawie czyta, przypominam sobie wiele rzeczy, o których już zapomnieliśmy."

I KTT przyznaje się, że niczego więcej by sobie nie życzył tylko usłyszeć podobną opinię po lekturze „Opakowania zastępczego". Wcale mu się nie dziwię. To jest marzenie każdego felietonisty. I KTT udaje się to marzenie spełnić, chociaż jego felietony pochodzą z lat 1971—1973, to przecież czyta się je z zainteresowaniem, gdyż wiele zawartych tam myśli i spostrzeżeń do dziś nie straciło swej aktualności.

Krzysztof Teodor Toeplitz — „Opakowanie zastępcze", Felietony z lat 1971—1973, PIW, Warszawa — 1975, str. 270, cena: zł 25,—

RÓWNIEŻ TEORETYK

Wydawnictwo Literackie w Krakowie wydaje już od kilku lat w jednakowej szacie graficznej książki Stanisława Lema, które wprawdzie traktuje się jako „Dzieła wybrane", a które już maluczko złożą się na „dzieła zebrane". Kilka jeszcze pozycji pozostaje poza tą wielce przecież pożyteczną serią, ale miejmy nadzieję, że i one się w niej znajdą.

Ta pożyteczna inicjatywa Wydawnictwa Literackiego — prezentowania dorobku literackiego Stanisława Lema — stawia jednak niektórych jego wytrwałych czytelników przed dylematem: kto jest pisarzem ciekawszym, Stanisław Lem autor książek fantastycznych, czy Stanisław Lem — autor rozpraw i szkiców teoretycznych? Ale takie postawienie sprawy obraca się przeciw samym czytelnikom, dowodzi, że nie zrozumieli twórczości Lema, że traktują ją powierzchownie, fascynują się scenerią i sprytnie skomponowaną akcją, ale nie wnikają w jej treść i znaczenie.

Nie ma żadnej sprzeczności między autorem „Czasu nieutraconego", „Obłoku Magellana", „Solaris", „Fantastyki i futurologii", „Filozofii przypadku", „Summa technologiae" i „Cyberiady". To tylko różne strony tej samej twórczości człowieka, który potrafił spojrzeć daleko w przyszłość. A że nie wszystko, co wymyślił i co tam w przyszłości zobaczył nadawało się do bezpośredniego przedstawienia czytelnikowi, ubiera więc to w coraz inny kostium, mając nadzieję, że ci którzy myślą podobnie zajrzą pod okrycie, a ci, którym do obojętne nacieszą oczy kolorowością szat.

„Rozprawy i szkice" wydane w ubiegłym roku we wspomnianej serii Wydawnictwa Literackiego stanowią zebranie „drobniejszej" twórczości Stanisława Lema. Znalazły się szkice drukowane po czasopismach, przedmowy i posłowia do książek, głos zabierany w różnych dyskusjach lub dyskusje te inicjujący. Są tu między innymi reakcje Stanisława Lema na różnego rodzaju wydarzenia z ostatnich lat, ale prawie zawsze dotyczące spraw przyszłości lub sposobów, w jakie przyszłość traktowano w przeszłości.

Napisał Stanisław Lem przedmowę do „Torpedy czasu" A. Słonimskiego, posłowie do „Wojny światów" H. G. Wellsa, „Ubika" Ph. Dicka i „Niesamowitych opowieści" S. Grabińskiego, a więc do tych książek, które w przeszłości traktowały o przyszłości, które liczą się w historii science fiction.

Ale nie tylko. „Refleksje 1974" traktują o błędach popełnianych w teraźniejszym myśleniu o przyszłości, a szkic „O poznaniu pozazmysłowym" był głosem Stanisława Lema w dyskusji o zjawiskach parapsychologicznych.

Stanisław Lem — teoretyk okazuje się być nie mniej interesującym od Stanisława Lema — autora powieści SF. Kto jednak chce naprawdę poznać twórczość Lema, niech czyta wszystko i niech myśli przy czytaniu.

Stanisław Lem — „Rozprawy i szkice", Wydawnictwo Literackie, Kraków — 1975, str. 360, cena: zł 60,—

WOJNA DOMOWA

Jedną z największych w dziejach ludzkości wojną wewnętrzną, a popularnie też nazywaną domową, były walki między „czerwonymi" i „białymi" w latach 1917—1920. Był to dla władzy radzieckiej czas nieustającej walki: raz z siłami „białych", które chciały zniszczyć władzę radziecką i doprowadzić do przywrócenia burżuazyjnego panowania a także nosiły się z zamiarem restaurowania monarchii, dwa — z siłami interwencyjnymi, które wystąpiły w obronie interesów międzynarodowego kapitału, dążąc jednocześnie do obalenia władzy radzieckiej, aby „czerwona zaraza" nie mogła rozprzestrzenić się po świecie i doprowadzić u nich do tego, co stało się w 1917 roku w Rosji.

Okres wojny domowej w ZSRR do dziś fascynuje twórców: pisarzy, filmowców, dramaturgów. Wiele trwałych dzieł radzieckiej literatury, filmu i teatru tego właśnie dotyczy okresu. Z bogatej historii wojny domowej czerpią tematy również twórcy książek i filmów, w których dominować ma przygoda, sensacja.

Były to rzeczywiście czasy tragiczne i bohaterskie, czasy walki na śmierć i życie, które pochłonęły tysiące ofiar, ale które doprowadziły do zwycięstwa władzy radzieckiej i w których zrodziła się Armia Czerwona. Dzieje niektórych operacji Armii Czerwonej przedstawia w swej książce Romuald Wojna. Tytuł książki: „W ogniu rosyjskiej wojny wewnętrznej 1918—1920".

Wśród radzieckich historyków trwa spór na temat chronologii wojny domowej. Od kiedy ją datować, czy od przewrotu październikowego w Piotrogrodzie w 1917 roku? Czy od ofensywy niemieckiej z lutego 1918 roku? Czy od maja 1918 roku, kiedy to na Syberii zbrojnie przeciwko bolszewikom wystąpił Korpus Czechosłowacki? Czy też od innego momentu?

Romuald Wojna, nie wdając się w spory o chronologię, rozpoczyna swoją opowieść od przewrotu zbrojnego dokonanego w Piotrogrodzie w listopadzie 1917 roku (według starego kalendarza, obowiązującego wówczas w Rosji — w październiku 1917 roku). Nie zajmuje się jednak dokładną historią walk wewnętrznych, nie zajmuje się wojnami zewnętrznymi prowadzonymi wówczas przez Radziecką Rosję z obcymi interwentami. Pisze o wojnie domowej, jaką wówczas toczyła „Rosja biała" z „Rosją czerwoną".

Prezentuje wydarzenia najważniejsze z punktu widzenia wojskowego, politycznego i społecznego. Stara się odpowiedzieć na pytanie: co sprawiło, że zwycięstwo zostało przy Armii Czerwonej, choć jej przeciwnik miał przewagę liczebną, dysponował lepszym uzbrojeniem, a jego oddziałami dowodzili wytrawni, dobrze przygotowani oficerowie?

W wojnie domowej z lat 1918—1920 po stronie „czerwonych" walczyli też Polacy. I o nich Romuald Wojna nie zapomniał, prezentując czytelnikowi wiele mało znanych szczegółów z dziejów naszej walki „Za naszą i waszą wolność".

L.W.

Romuald Wojna — „W ogniu rosyjskiej wojny wewnętrznej 1918—1920", „Wiedza Powszechna", Warszawa — 1975, str. 526, cena: zł 50,—

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

MUSZKA W GROCHY CZYLI WSPOMNIEŃ CZAR

Pamiętam taką wzruszającą anegdotę (a może autentyczną historię?). Oto w latach trzydziestych Julian Tuwim gościł w Wilnie i tam spotkał się z pewnym wiekowym już pisarzem, nestorem wileńskich literatów. Sędziwy poeta rzekł wówczas do młodego Tuwima: „Niech pan mi poda rękę. Ja znałem niegdyś Jana Czeczota, który z kolei w młodości przyjaźnił się z Mickiewiczem. Niech w ten sposób zachowana zostanie ciągłość literackiej tradycji".

Lektura wspomnień sędziwych pisarzy jest właśnie takim podaniem ręki — przedłużeniem tradycji. Dlatego nie mogę oprzeć się wzruszeniom, gdy czytam alfabet wspomnień, na obwolucie której widnieje charakterystyczna muszka w grochy.

Oczywiście nie przekażę w krótkim felietonie klimatu tej książki i atmosfery minionej epoki lat dwudziestych i trzydziestych. Ani pióro nie to, ani wiedza o tamtych latach nie taka. Więc tylko pozostaje mi ku zaciekawieniu czytelnika przekazać parę kresek z tej panoramy wspomnień.

Choćby to: **„Starszy pan w podniszczonym paletku prosił w budce tytoniowej o trzy papierosy. Kupowanie papierosów na sztuki było wtedy przywilejem ubogich. Poznałam go. Był to najpopularniejszy poeta moich lat szkolnych, Antoni Lange, przyjaciel mojego ojca".**

Albo to o Lucjanie Szenwaldzie: **„Spotkałem go kiedyś zimą. W lekkim paletku, w podniszczonych pantoflach tenisowych z twarzą obwiązaną chustką (...) „Jak się pan ma" — zagadnąłem zatrzymując go na ulicy. „O, najzupełniej dobrze — odpowiedział — choć ostatnio mam trochę kłopotu z mieszkaniem, ubraniem i wyżywieniem". (...) Przyjaciele Szenwalda opowiadali mi, jak Lucek potrafił żywić się tygodniami suchym chlebem i cukrem, aby uskładać pieniądze na kupienie jakiejś książki łacińskiej czy upragnionego słownika".**

Dowiadujemy się od pisarza w muszce w grochy o — nieznanych niestety — wspomnieniach Lechonia: **„We wszystkich trzech tomach zdaje relacje z powieści, nad którą rzekomo pracuje. Nie było sekretem dla jego przyjaciół, że on tej powieści wcale nie pisał".**

Przypomina nam także ów sędziwy pisarz, jak to w czasach, gdy w Polsce wzmagało się bezrobocie, a siedemset tysięcy dzieci nie objętych było powszechnym nauczaniem, ówczesny minister finansów na zebraniu literatów zamiast mówić o ekonomice i finansach kraju... oskarżał literaturę, że nie nadąża za wartko płynącymi zdarzeniami i nie daje obrazu radosnej rzeczywistości. Takie to były — przysłowiowe — koszmarne czasy sanacji.

I jeszcze o Przybyszewskim: **„nalał obie szklanki do pełna i powiedział: „Pij, robaczku" — łyknąłem potężny haust ciepłej ordynarnej wódy. Był, jak widzimy prekursorem: prekursorem panującego obecnie zwyczaju picia szklankami".**

Jest w tym alfabecie wspomnień wszystko. Zaduma i aluzja żart i złośliwość, anegdota i fakt historyczny... I ta ciągłość tradycji polskiego pisarstwa.

I są ostatnie słowa książki — z ostatniego rozdziału poświęconego Żeromskiemu. **„Bez Mickiewicza, Wyspiańskiego, i Żeromskiego nie byłoby Polski. Nie dźwignęłaby się z hańby rozbiorów, zostałaby nędzną prowincją we władzy obcej. Warto przypomnieć młodym pisarzom zafascynowanym lingwistyką i strukturą słowa, jaką to słowo może mieć siłę i jaką pomoc nieść może narodowi. Jak bronić może godności, przywracać dumę, kształtować dzień dzisiejszy i budować drogi przyszłe".**

WIDOK

MUZYKA

CO NOWEGO WŚRÓD PŁYT

Ubiegły rok zakończyły „Polskie Nagrania" z wykonanym chyba planem, w czym zapewne niebagatelną rolę odegrało wytłoczenie i wypuszczenie na rynek sporej części nakładu licencyjnego longplaya szwedzkiej grupy „ABBA", o której to płycie swego czasu pisał nasz recenzent. Ostatnie dwa miesiące 1975 roku poświęcono także na produkcję płyt długogrających z nagraniami laureatów konkursu chopinowskiego. To wszystko sprawiło, że nasza rodzima muzyka rozrywkowa zeszła w poczynaniach producentów czarnych krążków na plan dalszy. Już wczesnym wrześniem zaczęły na półkach z krajowymi płytami występować niedobory longplayów najchętniej kupowanych przez melomanów (m.in. „Rytm ziemi" Czerwonych Gitar, „Byłaś mi nadzieją" Krzysztofa Krawczyka i kilku innych), a nie mogły ich zastąpić sporadycznie i niekonsekwetnie pod względem repertuarowym wydawane małe płytki wytwórni-widma „Tonpressu". Poza tym, zabrakło ze wspomnianych wyżej przyczyn nowości Bożenarodzeniowych, a wśród nich longa łódzkiej Grupy „No To Co" z kolędami i pastorałkami Jerzego Krzemińskiego do tekstów Ewy Bonackiej. Zresztą nie jest to przykład odosobniony.

No, cóż — te płyty będą musiały jeszcze rok poczekać na swoją „premierę rynkową". A co do wymienianych wcześniej, to mamy nadzieję, że wkrótce, a więc jeszcze tej wiosny ukażą się wznowienia wyczerpanych tytułów w stosownych nakładach.

A co wśród nowości „Polskich Nagrań" w 1976 roku? Niebawem powinna ukazać się nagrana w ubiegłym jeszcze roku duża płyta Urszuli Sipińskiej, a w międzyczasie nagrań dokonywać będzie cały szereg polskich wykonawców. I tak longplaye przygotowują dwie rywalizujące z sobą piosenkarki: Anna Jantar i Irena Jarocka. Po niedawno wydanej płycie z „Hagawem", solowy tym razem krążek nagra jeden z naszych ulubieńców Andrzej Rosiewicz. Również Niemen zamierza zaproponować swym sympatykom własną wersję wykonawczą romansów rosyjskich; taką też jednorodną płytę nagrywać będzie Łucja Prus — będą na niej kołysanki. Przypuszczalnie kolejny, drugi już solowy, longplay uwieńczy półtoraroczny okres działalności Krzysztofa Krawczyka. Do nagrań przygotowuje repertuar także Krzysztof Cwynar. „Polskie Nagrania" zamierzają także w bieżącym roku uwiecznić na płycie wątpliwej wartości wokalne popisy Edwarda Hulewicza i Daniela Kłoska, którzy (a szczególnie ten drugi) zagubili się kompletnie na naszym rynku estradowym i trudno mówić o jakichkolwiek sukcesach, które upoważniałyby do nagrań.

Spośród zespołów, które przystąpią w bieżącym roku do nagrania płyt długogrających wymienić trzeba: Skaldów, Trubadurów i Breakout (te trzy zespoły mają już na swym koncie po kilka longów). Swego longplaya ma doczekać się także popularna grupa wokalna „Partita", a drugą — po ubiegłorocznym sukcesie rynkowym — płytę przygotowuje lubelska „Budka suflera". W najbliższych miesiącach wchodzą do studia „Czerwone Gitary", by nagrać aż dwie duże płyty; jedna zawierać będzie nowe piosenki Seweryna Krajewskiego i jego kolegów, druga zaś pomieści kolędy i pastorałki (oczywiście, ukaże się dopiero w grudniu). Wreszcie na koniec warto zwrócić uwagę na fakt, że „Polskie Nagrania" przewidują wydanie nowej płyty „Isabella's Vocal Group", zespołu, o którym nikt chyba jeszcze nie napisał dobrze, gdyż jego produkcje są zawsze dowodem złego smaku, a i poziom wykonawczy wymaga krytyki. Po co więc jeszcze jedna ich płyta?

„Polskie Nagrania" obiecują oprócz tego kontynuację rozpoczętej w ubiegłym roku (longplaye z utworami Andrzeja Tylczyńskiego i Ryszarda Sielickiego) z serii płyt autorskich. Zaplanowano pięć takich krążków, z piosenkami: Jerzego Wasowskiego, Jerzego Matuszkiewicza, Stefana Rembowskiego, Adama Skorupki i — jedynego w tym towarzystwie tekściarza — Janusza Kondratowicza, który jest autorem niezliczonej ilości polskich szlagierów.

Rzecz jasna, w tym krótkim przeglądzie zamierzeń „Polskich Nagrań" na rok 1976 ograniczyliśmy się do wymienienia tylko pozycji najciekawszych. Ogółem planuje się nagranie prawie 70 płyt długogrających z zakresu muzyki rozrywkowej i jazzowej. Ile z tego uda się nagrać i ile wydać — trudno powiedzieć. Dobrze byłoby, żeby nowych — a przede wszystkim dobrych longplayów naszych wykonawców było jak najwięcej, bo jak na razie w magazynach muzycznych raczej pusto.

DOBROSŁAW KLIMECKI

PROPOZYCJE

SMITH KONTRA JONES

Robert Louis Stevenson, angielski pisarz szkockiego pochodzenia, ten sam, który napisał „Wyspę skarbów", napisał też powszechnie znaną powieść: „Dr Jekyll i pan Hyde". Powieść o złożoności ludzkiej osobowości, w której obok dostojnego, godnego szacunku, uczciwego i poważanego gentlemana żyje potajemnie zwyrodnialec, okrutnik i złoczyńca. Powieść od dawna fascynuje czytelników, a powstała ona w 1886 r. Działa ona na wyobraźnię twórców innych dziedzin. Między innymi Telewizja Polska inscenizowała powieść R. L. Stevensona.

Ale życie okazuje się bardziej pomysłowe od najpomysłowszych twórców. Historia dr Jekylla i pana Hyde została powtórzona w innym co prawda miejscu i w innym wymiarze. Tu już nie było walki zła z dobrem, ale też w jednym człowieku gościły dwie osobowości, które pewnego dnia spotkały się w... barze.

Lewis R. Wolberg, amerykański psychiatra, praktykował wtedy w Kings Park State Hospital na Long Island, gdzie miał również do czynienia z alkoholikami. Próbował ich leczyć między innymi hipnozą. Szczególnie trudnym przypadkiem był Smith. Był on podatnym na hipnozę, ale nigdy ani w stanie pełnej świadomości, ani w stanie transu hipnotycznego nie potrafił zaprzeczyć, że jeśli nadarzy mu się okazja napicia się, to skorzysta. Lekarze byli bezradni, gdyż Smith był alkoholikiem z... przekonania.

Wtedy dr. L. R. Wolberg wpadł na pomysł wytworzenia u Smitha drugiej osobowości, niejako konkurencyjnej, przeciwstawnej, a opartej na tych cechach, które w świadomości Smitha tłumiła jego osobowość naturalna. Tę sztuczną osobowość dr L. R. Wolberg nazwał Jonesem.

Jones nie lubił Smitha. Budził się do życia, kiedy Smith zasypiał w hipnotycznym transie. Ale Jones istniał w podświadomości Smitha, który na „trzeźwo" nic o nim nie wiedział. Jones opowiadał lekarzowi o wszelkich zamysłach Smitha, „szniclował" go — jakby wyraził się Smith, gdyby nie był uśpiony hipnotycznie i wiedział, co Jones o nim wygaduje.

Kiedyś Smith zwrócił się do lekarza z prośbą o zwolnienie go ze szpitala, obiecując, że już nigdy nie weźmie kieliszka wódki do ust, Jones w czasie seansu hipnotycznego powiedział: „To jest przeklęty łgarz; on zamierza upijać się". Zamiarem lekarza było rozbudować w podświadomości Smitha te cechy, które były u niego tłumione, a które mogły oddziaływać w pożądanym kierunku na całą osobowość Smitha. Wprawdzie w czasie seansów hipnotycznych, kiedy Jones toczył grzeczne rozmowy z lekarzem, pojawiał się Smith, dając upust swojej gwałtowności i opryskliwości, ale wtedy Jones odgrażał się, że pobije Smitha.

Kuracja Smitha przy pomocy Jonesa trwała cztery tygodnie i dr L. R. Wolbergowi już wydawało się, że z pozytywnym skutkiem. Zmienił się nawet wygląd zewnętrzny Smitha, nie tylko sposób jego myślenia. Trzeba było dokonać konfrontacji. Pozwolić Smithowi wyjść ze szpitala i zetknąć się z barem. Smith nie wykazywał żadnego zainteresowania wódką, nie interesowało go piwo, a bary omijał z obojętnością. Dr L. R. Wolberg już miał zamiar cieszyć się zwycięstwem i właśnie opowiadał o sukcesie innemu lekarzowi, gdy zadzwonił telefon. Okazało się, że Smith leży u progu pobliskiego baru w absolutnym upojeniu alkoholowym.

Tego typu historie zdarzają się. Wielu ludzi, o których sądzono, że skutecznie wyleczyli się z nałogu, powracało nagle do poprzednich praktyk. Ale w przypadku Smitha historia wyglądała trochę inaczej. Oto, gdy obaj lekarze udali się na miejsce „wypadku", stwierdzili, że pijany Smith wykrzykuje, że nazywa się Jones, a wódkę pił z kolegą, który go do tego namówił; kolega nazywa się... Smith.

Następnego dnia Smith zupełnie nie pamiętał, co robił jako pijany Jones. Co więcej pamiętał tylko, że wszedł do baru, ale czy w barze coś pił, tego nie pamiętał, nie pamiętał nawet pierwszego kieliszka, kiedy przecież powinien był być zupełnie jeszcze trzeźwy. Jones w trakcie transu hipnotycznego przyznał, że został przez Smitha zmuszony do picia i prosił żeby więcej nie dawać Smithowi przepustki.

Tym razem leczenie nie powiodło się, ale Lewis R. Wolberg w książce „Hipnoza", wydanej przez PWN jako 211 pozycja „Biblioteki problemów", prezentuje wiele innych przypadków, kiedy hipnoza okazała się nader skuteczna. Jest on wybitnym znawcą hipnozy jako skutecznego środka terapeutycznego. Nie ukrywa jednak, że wokół hipnozy narosło wiele nieporozumień, że niektórzy traktują ją jak część magii. Hipnoza jest też atrakcyjną rozrywką. Wiele teatrzyków i przedsiębiorstw rozrywkowych zatrudnia hipnotyzerów, aby ci występując w programach rozrywkowych, bawili publiczność usypianiem ludzi i zmuszaniem ich do wyczyniania różnych „brewerii". Podejrzewa się też, że zręczni hipnotyzerzy mogą wykorzystywać swoje ofiary. Amerykańska prasa nazywała np. Charlesa Mansona, który w 1969 roku zamordował aktorkę filmową Sharon Tate, „mistrzem hipnozy", utrzymując, że „rzucał on urok" na swą „rodzinę zabójców".

Hipnoza jednakże w rękach dobrego specjalisty staje się skutecznym środkiem dla uśmierzania bólu łagodzenia napięć, rozładowywania konfliktów i leczenia schorzeń, kiedy zawodzą inne metody.

MARCIN RODAK

SPORT

ZIMA PEŁNA SENSACJI

Tegoroczna sportowa zima jak nigdy pełna była sensacji. Różnego gatunku były to sensacje. W Innsbrucku nasi sportowcy postarali się o sensacyjne buble, przywożąc jedyny punkt, który — jak wiadomo — zdobyli hokeiści, przegrywając wszystkie mecze i plasując się na ósmym, punktowanym miejscu. A stało się tak dlatego, że innego miejsca zająć nie mogli, bo o tytuły olimpijskie walczyło 6 drużyn.

Sensację nieco lepszego gatunku sprawił nam Marek Pach — dwuboista, który w skokach narciarskich wyeliminował na Dużej Krokwi wszystkich skoczków, zdobywając mistrzostwo Polski. Ta sensacja potwierdziła tylko ogólną ocenę, jaką wystawili sobie nasi sportowcy w Innsbrucku.

Sensację bardzo przyjemną sprawił nam Tadeusz Ślusarski, który pobił halowy rekord świata w skoku o tyczce, aby w kilka dni później ustąpić Władysławowi Kozakiewiczowi, którego wynik pobity został z kolei przez Dana Ripley'a. Nie traćmy jednak nadziei, walka trwa, wszystko tu jeszcze może się zdarzyć. W każdym razie nasi tyczkarze nie ustępują najlepszym i są w czołówce. Trochę nas to podniosło na duchu.

I zaraz przyszły następne sensacje. Może nie największego kalibru, ale zawsze. Na halowych mistrzostwach Europy w lekkiej atletyce nasza młoda reprezentacja zdobyła 5 medali. Wprawdzie taki a nie inny skład naszej reprezentacji na te mistrzostwa wywołał różne sprzeciwy, ale myślę, że niesłusznie. Zarzucano bowiem działaczom z tej dyscypliny sportu, że zlekceważyli mistrzostwa Europy, rozgrywane w hali sportowej w Monachium, wysyłając tam „drugi" skład, samą lekkoatletyczną młodzież. Trzeba było — wołano — posłać najlepszych i traktować ten wyjazd, jako olimpijskie przygotowania. Rozumiem, że w tym wołaniu była żądza powetowania sobie innsbruckiej klęski, pokazania, na co nas jeszcze stać. Mogłabym oczywiście mieć tylko w tej sprawie odmienne zdanie, ale byłoby ono moim prywatnym zdaniem, gdyby nasi młodzi lekkoatleci nie przyjechali z Monachium - 5 medalami. Fakty potwierdziły bowiem, że tym razem postąpiono słusznie. Tak zresztą postąpiły też inne kraje, rezerwując najlepsze siły do walki w Montrealu. Cieszyć się wypada, że młodzi dowiedli w Monachium, że w lekkiej atletyce można liczyć na drugą zmianę. Dla przyszłości sportu to bardzo ważne i chyba nie trzeba o tym przypominać.

Dobrze zresztą się stało, że zaraz po Innsbrucku było Monachium, gdyż dyskusja o zimowych sportach w Polsce rozgorzała tak mocno, że zaczęła aż schodzić na manowce. Inaczej — zaczęła powoli toczyć się obok tematu. Oto ktoś zaczął domagać się, aby za innsbrucką klęskę „dać po łapach" nie tylko kapralom, ale dobrać się też do skóry generałom. Chodzi oczywiście o sportowych kaprali i generałów. Ktoś inny z tym się nie zgadzał, postulując zupełnie słusznie, że nie o „dawanie po łapach" tu chodzi, a rzetelną, fachową analizę i wyciągnięcie z niej wniosków. Tylko, że w tym gwałtownym szukaniu winnych niektórzy drodzy koledzy po piórze (a raczej po maszynie do pisania) zapomnieli o jednym, zapomnieli o tym, że przed Innsbruckiem nie byli tacy mądrzy i nie wiedzieli lub udawali, że nie wiedzą, jaki jest stan sportów zimowych. Wyliczanka zaprezentowana przez Janusza Zielonackiego w „Polityce" („Gra w olimpijskie numery", nr 7 z 14 lutego 1976 roku) wyraźnie dowodzi, że jasność nie stała się nagle. Dało o sobie znać raczej nasze „jakoś to będzie", ale jakości nie było.

Racje niewątpliwie ma „Sportowiec" kiedy pisze w numerze 7 z 17 lutego 1976 roku:

„Okazało się, że polscy sportowcy nie trafili ze szczytem, są bez formy, bez ambicji, bez ducha. Nie zdobyliśmy ani jednego medalu, ale za to jeden punkt wywalczyli hokeiści, którzy urastają w pewnym sensie do bohaterów Olimpiady. W tym świetle, zresztą przyćmionym, zdumiewa wystąpienie w telewizji przedstawiciela pewnej gazety sportowej, który opisując rozmiary klęski, domagał się wyciągnięcia surowych konsekwencji. W tejże gazecie właśnie aż roiło się od zapewnień o pełnej gotowości ekipy olimpijskiej. Ciekawy przykład przytomnego zajęcia słusznej postawy".

Nie wiem, czy wszyscy Czytelnicy wiedzą, o jaką to chodzi gazetę i jakiego jej przedstawiciela. Ja wiem, ale nie powiem, skoro „Sportowiec" boi się rzecz nazwać po imieniu, to nie mam zamiaru pchać swoich palców między warszawskie drzwi.

Ale zapewniam, że już niedługo, bo 29 lutego 1976 roku, wszystko wróci do normy, gdyż zacznie się „ligowa młócka". Telewizja — jak to ładnie powiedział Tomasz Hopfer w minioną niedzielę — zamiast pokazywać pięknie strzelane bramki na stadionach Wielkiej Brytanii czy Holandii, pokaże jak celnie strzelają nasze piłkarskie orły. Oglądając ligowe zmagania, zapomnimy powoli o goryczy innsbruckiej klęski, przypominając sobie minioną sławę srebrnej jedenastki. Obawiam się tylko, aby ligowe zmagania w piłce nożnej nie przesłoniły słusznego postulatu dokonania rzeczowej analizy tego, co nasi pokazali w Innsbrucku. Myślę, że byłby już czas, aby ktoś kompetentny zabrał głos i powiedział kibicom, jakie jest zdanie i stanowisko władz sportowych w wiadomej sprawie.

Na razie wszyscy się martwią tym, czy nasi piłkarze grać będą na zielonych czy białych stadionach? I jak stwierdził to w błyskawicznym rajdzie reporterów katowicki „Sport":

„W najlepszych warunkach przyjdzie zainaugurować tegoroczne rozgrywki piłkarzom rybnickiego ROW. Elektryczne podgrzewanie płyty, jedyne w Polsce, doskonale zdało egzamin".

BOGDA MADEJ

PORTRETY

Fotoreportaż:
JANUSZ MENDYCHOWSKI

„NIE TAKI diabeł straszny" CZYLI HENRYK CZYŻ DYRYGUJE

MAGAZYN
ODGŁOSY

TADEUSZ GICGIER

Z PODRÓŻNEGO SZKICOWNIKA

WYTAPIANIE POMIDORÓW

Słońce — ognista kula w pomarańczowym piecu nieba. Ziemia — żółta, gliniasta, spękana — wypukła skorupa żółwia. Stoi na niej okrakiem krępy kubański kołchoźnik, w ręku trzyma długi, prosty kij. Zanurza jego koniec w słońcu, jak w płynnym szkle. Dmucha w drugi koniec kija i wtedy do skrzyni spadają lśniące, czerwone kule — pomidory.

BAKŁAŻANY

Stok kaukaskiego wzgórza, przemienionego ręką ludzką w winnicę. U krawędzi stoku, na głazach, targ, który pachnie Wschodem: turecki pieprz, zielone gruszki inżyru, mechate jabłka ajwy, armatnie kule arbuzów i melonów, podłużne granaty bakłażanów. Jeden z nich wypadł z ręki handlarki i eksplodował fioletem. Na ten sygnał eksplodowało barwami całe wzgórze: ochra czerwienią, syderyt złotem, kalcyt różem, piryt brązem, margiel ołowiem. A w dole odpowiedziało malachitem Morze Czarne.

MINUTA W SOCZI

Klifowy brzeg, zielona przepaść morza. Mżący, upalny, idący jakby z niezmiernej dalekości szum głosów z plaż i znad połyskliwej wody.

Stoję w głębokim cieniu platanu, oparty o jego nagi pień. Przede mną kopulasta magnolia, przy niej dwa chude cyprysy — uważni strażnicy. Więc nie sięgnę po jej biały kwiat, na którego widok zwężają się źrenice. Mogę tylko zadziwić się przez chwilę, w jaki to sposób nasza lilia wodna rozpięła swe śnieżne korony na tym egzotycznym drzewie.

SPOTKANIE Z CYPRYSEM

Stoimy naprzeciw siebie, obaj poważni i skupieni. Ja jednak mam więcej powodów do zadumy:

— Kiedy pisałem o tobie, nie znałem cię, choć byłem podobny do ciebie. Gdy cię poznałem, jestem dla ciebie monstrualny, nie mam już z tobą nic wspólnego. I niczego nie zmieni to, że przypominasz tak bardzo nasz jałowiec i naszą tuję.

KOSMOS

Zanim tych kilka sierpniowych dni odsunie się ode mnie, ja odsuwam je od siebie: niech im się przyjrzę z kosmicznego oddalenia.

Stoimy z Wołodią na brzegu rzeki i ćmimy papierosy. Lecz to nie one żarzą się, a wieczorne świerszcze. Po upalnym dniu rzeka oddycha rzeźwym wiatrem. Lecz to nie wiatr, a głos harmoszki z drugiego brzegu. Nasze żony zdjęły sukienki, ubrane na nagie ciała. Ich ciała są spalone słońcem — w ciemnościach świecą teraz trzy księżyce: jeden nad rzeką i dwa wstępujące w wodę.

WOŁODIA

Ma skośne oczy i wystające kości policzkowe. Więc jest mu do twarzy w pozycji jogów, chociaż kucając nie krzyżuje nóg. To pozycja, do której przywykł na rybałce.

Jest z zamiłowania rybakiem i pilotem. Milczy za sterem i milczy z wędką w ręku. Wycisza w sobie warkot samolotu, wsłuchuje się w siebie. To znaczy — w spokojny plusk rzeki, płynącej leniwie pod słońcem Kubania.

Nie patrzy na wędkę. Ryba, jeśli ma się złapać, złapie się sama. Nawet wtedy, gdy on tkwi w swej ulubionej pozycji bez wędki.

BIELE

Biała jest morska sól na mojej skórze. Biały domek w ogrodzie i białe są włosy pani Natalii. Białe słońce Południa, i biała jego sieć, rzucona przez liście winogradu. Z tej sieci nie wymotam się, niewolnik bieli. Odjadę stąd, a biały jeniec pozostanie.

POŻEGNANIE KIJOWA

Powiał upalny wiatr. Tamy wiążące zieleń na wzgórzach kruszą się, pękają u brzegów Dunaju. Drzewa zstępują do wody, niosąc na swych barkach złote kopuły ławry, stapiają się z wodą i niebieścieją jak woda, jak modre tło bizantyńskich obrazów. Falują w wodzie wzgórza, falują domy zanurzone w niebieskiej zieleni. Ten falujący, niebieskozłoty obraz unoszę stąd pod powiekami.

Foto: Archiwum

MARIANNA GOŹDZIK

POCHODZENIE wszechświata

Jak powstał wszechświat? Jest to pytanie, które ludzie zadają sobie od tysięcy lat i, jak dotąd, nie znajdują na nie odpowiedzi. Na pociechę trzeba jednak powiedzieć, że dzięki zastosowaniu nowych technik badawczych dokonano w ostatnich latach pewnego postępu i w tej dziedzinie.

Pierwszą rzeczą, o której musimy pamiętać przy roztrząsaniu zagadnienia pochodzenia wszechświata są ogromne, wprost niewyobrażalne odległości, z którymi mamy do czynienia. Nawet gołym okiem można zobaczyć obiekty odległe od nas o dwa miliony lat świetlnych. Takim obiektem jest Mgławica Andromedy — galaktyka, którą wyraźnie widać w jasne, bezksiężycowe noce. System Andromedy, podobnie jak nasza Galaktyka składa się z ogromnej ilości gwiazd oraz chmur gazów i pyłu.

Mgławica Andromedy należy do tzw. „grupy lokalnej" galaktyk i jest jednym z najbliżej nas leżących systemów zewnętrznych. Galaktyki znajdujące się dalej są naturalnie mniej jasne i trudniejsze do obserwacji; przy odległościach rzędu miliardów lat świetlnych nawet wielka galaktyka wygląda na zdjęciach, zrobionych z użyciem gigantycznych teleskopów, jak rozmazana, przyćmiona plama. Niedawno odkryto galaktykę (numer katalogowy 3C-153) znajdującą się w odległości ośmiu miliardów lat świetlnych od Ziemi. Widzimy ją więc obecnie taką jaką była 8 miliardów lat temu, to znaczy na długo przedtem zanim w ogóle powstała Ziemia, bo wiek naszej planety prawie na pewno nie przekracza 5 miliardów lat. Tak więc, z chwilą, gdy tylko zaczynamy obserwować świat znajdujący się poza naszym najbliższym sąsiedztwem, informacje przez nas odbierane, to informacje przestarzałe.

Obiekty niebieskie wysyłają, różnego rodzaju promieniowanie, od bardzo krótkich fal promieni rentgenowskich i gamma, przez fale świetlne, aż do zakresu fal radiowych. Fale radiowe chwytane są i analizowane w instrumentach zwanych radioteleskopami. Radioteleskopy mogą odbierać promieniowanie ze źródeł tak bardzo oddalonych od nas, że najpotężniejsze teleskopy optyczne nie są w stanie wykryć nawet najmniejszych śladów obiektów, które są źródłami tego promieniowania. Przy pomocy radioteleskopów udało się zajrzeć w przepastne głębie Kosmosu na odległość około dziesięciu miliardów lat świetlnych.

Inną bardzo ważną sprawą jest zjawisko tzw. „ucieczki galaktyk": wszystkie galaktyki z wyjątkiem tych należących do grupy lokalnej, oddalają się od nas, przy czym szybkość oddalania się jest tym większa im dalej się one od nas znajdują. Nie znaczy to, że nasza Galaktyka jest w jakiś szczególny sposób niepopularna; po prostu poszczególne grupy galaktyk wzajemnie się od siebie oddalają, co z kolei oznacza, że wszechświat znajduje się w stadium ekspansji.

Jakie można wyciągać wnioski z tej nagromadzonej dotychczas wiedzy o wszechświecie?

Według bardzo popularnej w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych teorii stanu stałego, wszechświat istniał zawsze i będzie istniał zawsze. Teoria ta zakładała, że wraz ze znikaniem galaktyk poza granicami obserwowanego wszechświata tworzą się nowe z materiału powstającego spontanicznie z nicości, przy czym szybkość powstawania nowej materii jest zbyt mała, aby można było wykryć i obserwować zachodzenie tego procesu.

Pomimo tego chytrego zastrzeżenia, teoria ta została obalona. Jeśli zakładano, że wszechświat zawsze znajdować się musi w stanie równowagi, oznaczało to, że zawsze powinien wyglądać tak jak teraz, że rozmieszczenie galaktyk w przeszłości winno być takie same jak teraz. Nie można podróżować w czasie, ale można zerknąć w przeszłość obserwując oddalone od nas galaktyki i porównać je z tym, co widać bliżej nas. Metody używane w radioastronomii wskazują, że rozmieszczenie materii w systemach bardziej od nas oddalonych jest inne niż w systemach bliższych nam. Jeśli tak jest, to wszechświat jest w stanie rozwoju i teoria stanu stałego jest błędna, co zresztą przyznaje obecnie większość astronomów.

Z wielu innych teorii interesujące są jeszcze dwie: teoria „wielkiego wybuchu" i „cykliczna" (lub „pulsacyjna"). Według pierwszej, wszystka materia została stworzona w tym samym czasie, około 10 miliardów lat temu, w formie określanej jako „praatom". Następnie ów praatom eksplodował, powstały gwiazdy, galaktyki a końcowym produktem eksplozji był rozszerzający się wszechświat, w którym obecnie żyjemy. Zgodnie z teorią cykliczną, rozszerzanie się wszechświata nie będzie trwało bez końca; kiedyś galaktyki zaprzestaną ucieczki i zaczną się do siebie zbliżać. Rozszerzanie się i kurczenie wszechświata będzie następować jedno po drugim nieprzerwanie, jak nieprzerwanie trwa dotąd nieskończony ciąg przeszłych cykli. Tak więc, zgodnie z tą teorią, wszechświat odradza się co jakiś czas, być może co 60 miliardów lat.

Kluczem do stwierdzenia tego, która z tych dwu teorii jest bardziej prawdopodobna jest ustalenie, czy we wszechświecie znajduje się dość materii dla powstrzymania obecnego cyklu ekspansji. Obliczono, że jeśli ogólna gęstość materii we wszechświecie jest większa niż masa jednego atomu wodoru na 10^{22} metrów sześciennych przestrzeni, to przejście do cyklu kurczenia jest możliwe; jeśli materii jest mniej, rozszerzanie się wszechświata będzie trwało w nieskończoność. (Liczba 10^{23} oznacza jedynkę z 23 zerami. 10^{23} metrów sześciennych przestrzeni jest w przybliżeniu równe dwukrotnej objętości Ziemi!) Obecne obliczenia wskazują na to, że gęstość materii jest mniejsza od wartości krytycznej, co oznaczałoby, że hipoteza cykliczna jest błędna. Jest jednakże jeszcze zbyt wcześnie na dogmatyzm, w szczególności dlatego, że ciągle nie znamy ilości materii niewidocznej, na przykład materii zawartej w dziwnych obiektach zwanych „czarnymi dziurami."

Można powiedzieć, że obecnie większość astronomów zgadza się z poglądem, że cała materia została „stworzona" nagle, w tym samym czasie. To jednakże nie wyjaśnia, jak nastąpiło to „stworzenie". Jesteśmy jedynie w stanie zrekonstruować rozwój wypadków poczynając od momentu odległego od nas o 10 miliardów lat do czasu powstania Ziemi i nas samych. Jest to sytuacja podobna tej, w jakiej znalazłby się przybysz z innej planety obserwujący przez pół godziny przechodniów w dużym mieście. Widziałby on niemowlęta, chłopców, młodzieńców, mężczyzn i starców. Przy odrobinie inteligencji mógłby odkryć, że niemowlę zamienia się w chłopca, chłopiec w mężczyznę a mężczyzna w starca; jednakże bez znajomości podstawowych faktów życia niewiele by z tego skorzystał, bo nie umiałby wyjaśnić narodzin niemowlęcia.

Taki jest obecnie stan naszej wiedzy. W gruncie rzeczy nie dyskutujemy o pochodzeniu wszechświata lecz o jego ewolucji. Pomimo jednak problemów i niejasności wiemy obecnie więcej, niż wydawało się możliwym jeszcze kilka lat temu i należy mieć nadzieję, że przy ciągłym postępie uda nam się kiedyś uchylić rąbka tajemnicy pochodzenia wszechświata.

STANISŁAW BOROWKIN

FRASZKI

RADA

Kiedy cymbał dzierży władzę,
blisko niego być nie radzę.

URYWEK Z BIOGRAFII

...Zanim poszedł w dyrektory,
to był skory do pokory...

DOPÓKI DZBAN

Kradł,
kradł
— aż wpadł.

BILANS

Ach, cóż to był za ślub!
Trzech rannych, jeden trup.

PAL SZEŚĆ!

Kiedy mi bliźni nad głową huczą,
kiedy mnie straszą ponurą twarzą,
wciąż powtarzając, że mnie nauczą
oraz dodając, że mi pokażą,
innych by wzięła chęć oczywista
na takich gości z impetem natrzeć,
a ja powiadam: „Z nauk skorzystam,
a przy tym bardzo chętnie popatrzę".

BOHDAN PIĄTKOWSKI

ALMANZOR

W Państwowej Stadninie Pegazów życie płynęło bez większych zakłóceń. W pogodne dni, przy sprzyjającym wietrze — spasione i zadyszane perszerony wspinały się na pagórek i strzygąc okiem czy dyżurny operator Kroniki Filmowej czuwa na posterunku, rozpinały wątłe skrzydła wykonując skok zakończony powolnym opadaniem na łąkę. (Relacje z tych wiekopomnych wydarzeń wyświetlano potem w kinach, jako nadzwyczajny dodatek pod tytułem: „Dumny lot"). Zwykle panowała tu atmosfera dostojnej i znudzonej ociężałości, jedynie przy żłobach można było zauważyć większe ożywienie.

Pewnego jednak dnia przed obliczem dyrektora Stadniny stanął Pierwszy Koniuszy i drżącym ze wzruszenia głosem zaraportował, że dwulatek Almanzor zaczął naprawdę latać.

— Obserwowałem go od dłuższego czasu — meldował. — Początkowo wzbijał się skąd należy, leciał z wiatrem jak trzeba, może troszkę wyżej niż inne, ale lądował w przepisowym punkcie i wszystko w sumie wyglądało znośnie. Dopiero przed paru tygodniami wstąpił w niego istny diabeł. Nie tylko, drań, fruwa, jak ten, nie przymierzając, motylek, ale przed paru dniami spróbował pionowego startu, a potem wysoko, pod chmurami wywinął taką beczkę, że aż serce we mnie zamarło. I co najgorsze, teraz znowu to bydlę ćwiczy nowe sztuczki, można powiedzieć: ekspery-mąci nam, z przeproszeniem.

— Nauczyć go rozumu — zdecydowanie powiedział dyrektor. — Przede wszystkim: Kronika Filmowa won!

— Od dawna już ich usunąłem — komunikował Koniuszy — żeby w Ministerstwie nie wpadli w panikę, że się u nas źle dzieje. Ale to nic wśród pegazów nie zmieniło. Poniektóre młodziki już dziś naśladują Almanzora, tyle, że jeszcze im nie wychodzi. A próbowaliśmy już wszystkiego: i po dobroci tłumaczyć, i owies mu podrzucać, żeby przytył, i mokre siano dostawał: gdzie tam, wszystko na nic. Niedawno zamówiłem nawet, ciężki jak młyński kamień, ołowiany medal z napisem: „MISTRZOWI PODNIEBNYCH SZLAKÓW — DUMNI INSTRUKTORZY". Myśli pan, że mu to przeszkodziło? Gdzie tam, jeszcze bardziej sobie skrzydła wyrobił:

Zdesperowany dyrektor machnął ręką i szybko zakończył rozmowę, po czym natychmiast wyjechał do Stolicy. Z kim i o czym konferował — nikt nie wie. W każdym razie już nazajutrz Almanzor został służbowo przeniesiony do Ministerstwa, gdzie objął etat starszego radcy.

Dziś już nikogo nie demoralizuje — modnie przystrzygł lotki, trochę wyłysiał i w ogóle jest wzorowym urzędnikiem. Dostał wysokie odznaczenie i taką samą pensję.

MAGAZYN ODGŁOSY

JERZY WILMAŃSKI

PARODIE PRASOWE

Kultura

perswazje

SPRAWA

1.

Sprawa zazwyczaj urasta za przyczyną sił sprawczych. Mieliśmy kiedyś w „Biesiadzie Literackiej" taką sprawę. Ale to była sprawa honorowa. Gdzie dziś szukać sprawy honorowej, kiedy honoru za grosz. O kant dupy potłuc te dzisiejsze sprawy.

2.

Lecz i kant może być Sprawą tak, jak może być nią Kant (Emanuel). Ale i Sprawa bywa nieraz ordynarnym kantem.

3.

Wczoraj w „Krokodylu", podszedł do mnie jeden taki i rzekł: „Mam do pana sprawę". — „Pocałuj mnie w dupę" — odrzekłem. I było to najbardziej logiczne zamknięcie całej sprawy.

MILTON

PRZEBOJE PRZEBOJE...

SM STANDARD MŁODYCH

Być może dyskusyjne są sukcesy Led Zeppelin, Minnie Ripperton, Janis Ian, Johna Donevera, the Elton John Band, Barry Manilow czy Frankie Valli. Ale wystarczy posłuchać „Physical Graffiti" albo „Perfect Angel" bądź też „Betwees Lines" i „An Wvening with John Brever" czy „Philladelphia Greedom" i „Mandy", „Fame", „Train" oraz „Young Americana" — ewentualnie „My Eyes Adored You" i „Thank Godd I'm a Country Boy", aby dojść do wniosków, które narzucają się same.

Jeśli nasze uwagi wydają się wam dyskusyjne, czekamy na listy. Najciekawsze wypowiedzi nagrodzimy płytami długogrającymi Daniela Kłoska.

M. CHALSKI

Szpilki

LIST Z KRAKOWA

„U nas w Krakowie..." jak mawia January Bączek, woźny Urzędu Miasta; ale ja nie o tym. Było u nas trzech Anczyców — Wacław, Władysław i Władysław Ludwik. Ulicami snują się duchy Teodora Axentowicza, Michała Bałuckiego, Szymona Askenazego, Artura Bartelsa, braci Bilewskich (a także Hawełki, Dutkiewicza, Jawornickiego, Anisa, Reima, Zdanowicza i Beyera), Boya-Żeleńskiego, Aleksandra Birkenmajera, Józefa Brodowskiego... Dalej Adama Chmielowskiego (bratą Alberta), Ignacego Chrzanowskiego, a także Chmurskiego, właściciela wytwórni wody sodowej...

Historia się na tym nie kończy, bo mamy jeszcze dwadzieścia dwie litery alfabetu, a nazwisk co najmniej na sto następnych felietonów.

R. BAJCA

Jedno danie

Ryż na szybko

PRZE KRÓJ

PODAJE: p. Zofia z Elbląga. Ryż wrzucamy na wrzącą wodę. Przedtem nie płuczemy (to ważne). Dwadzieścia sekund trzymamy go pod przykryciem na ostrym ogniu. Następnie odsączamy wodę i wykładamy na talerze. Można posypać siekaną pietruszką.

Próbowaliśmy. Ryż jest oczywiście niedogotowany, ale rzeczywiście na szybko.

ODPOWIEDZI: p. Janina W. pisze w sprawie zalewajki. Ależ oczywiście, nadaje się na jedno danie także ze skwarkami.

K. JALKOWSKI

KRĘĆ SIĘ PŁYTO I... MONETO

Często, w prywatnych nawet rozmowach, usłyszeć można, że show bussines (czyli to, co niektórzy u nas usiłują określać mianem przemysłu rozrywkowego) jest „branżą", w której stosunkowo łatwo i szybko można wypełnić sobie kieszenie pieniędzmi. Nic dziwnego, przecież miliony ludzi na całym świecie były świadkami tego, jak zachodni piosenkarze i zespoły przysparzali sobie krociowych zysków; dzisiaj Frank Sinatra czy Elvis Presley są milionerami, a Beatlesi przed kilkoma laty rozważali możliwość zakupu jednej z wysp u wybrzeży Grecji. Jak widać, „gwiazdom" powodzi się znakomicie. Zresztą nazwiska i nazwy można by tutaj mnożyć, skoro zdarzają się wykonawcy, którzy inkasują po kilkadziesiąt tysięcy dolarów za koncert.

U nas, oczywiście, żaden z piosenkarzy czy piosenkarek, żadna z grup nie osiąga nigdy takich zysków. Pomijając już sprawy specjalnych obowiązujących przepisów, które regulują dochody artystów estradowych (co wymagałoby osobnego artykułu), warto wyjaśnić, że gros wpływów zachodnich piosenkarzy i zespołów pochodzi z tantiem za wykonywane piosenki. Po prostu na Zachodzie (tzn. w państwach zachodniej Europy, Stanach Zjednoczonych, ale także w Japonii) udziały za eksploatację piosenki płaci się nie tylko autorowi tekstu i kompozytorowi (bardzo często zdarza się, że wykonawca śpiewa własną piosenkę lub przynajmniej w połowie przez siebie napisaną!), ale także wykonawcom utworu. Stąd też niejednokrotnie bajeczne sumy osiągają tacy, którzy jedynie od czasu do czasu nagrywają w studio c z y j e ś piosenki (a nie brak przecież związanych na stałe spółek autorskich takich, jak np. Holland-Dozier-Holland z murzyńskiej wytwórni „Tamla-Matown" czy angielska Chapman-Chinn), nie występując nigdy lub występując niezwykle rzadko na estradzie.

(Tutaj dygresja: trzeba wyjaśnić chyba, co oznacza termin „eksploatacja piosenki". Otóż, składają się na nią wszelkie wykonania publiczne (telewizja, estrada, gastronomia), odtworzenia (radio), publikacje drukiem (w prasie, w wydawnictwach) oraz nagrania (płyty, pocztówki dźwiękowe, kasety). Rzecz jasna, istnieją specjalne instytucje (związki twórcze), których zadaniem jest egzekwowanie tantiem przypadających za poszczególne utwory).

U nas, na gruncie polskim, ta sprawa wygląda nieco inaczej: wykonawcy piosenek nagrywanych dla P.P. „Polskie Nagrania", dla Polskiego Radia i Telewizji, wynagradzani są (i to nie zawsze) tylko jednorazowo — za dokonanie danego nagrania. W Polsce bowiem tantiemy z racji wykonań publicznych otrzymują jedynie kompozytor i autor tekstu (nawet aranżer jest zazwyczaj opłacany jednorazowo).

Podobnie jest z płytami i pocztówkami dźwiękowymi — niewielki procent dochodu od każdego sprzedanego krążka kierowany jest na konto twórców piosenek na tym krążku zawartych. Czasem narastają w ten sposób niebagatelne sumy i gdyby tak zająć się obliczeniem tego, ile zarobili... Ale nie wypada zaglądać do cudzej kieszeni. Warto raczej przypomnieć listę czołówki najbardziej „handlowych" (jeśli chodzi o płyty) polskich piosenkarzy i zespołów, ukazując przy okazji, jak wielki jest obrót finansowy dokonujący się w handlu płytami.

Na przestrzeni od stycznia 1960 roku do końca roku 1974 tzn. w ciągu piętnastu lat, które są łącznikiem pomiędzy trzema epokami muzycznymi, w jakich dominowały kolejno: rock'n'roll, big beat i dzisiejsza pop music, najwięcej sprzedano w naszym kraju płyt zespołu „Czerwone Gitary" — 2.385 mln sztuk. Dało to obrót w milionach złotych: 106,686. Trzeba w tym miejscu nadmienić, iż „C-G" istnieją od 1965 roku i dotychczas nagrano w Polsce 6 ich longplayów oraz kilkanaście małych płytek. Drugie miejsce na tej liście zajmuje Irena Santor, rekordzistka „Polskich Nagrań" z dziesięcioma longplayami na koncie, spośród których sprzedano 1.590 mln egzemplarzy za 83,586 mln zł. Dalej sklasyfikować by należało Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze" — 1.142 mln płyt „Mazowsza" znalazło nabywców, a wydali oni w ten sposób 75,567 mln zł. Następnie w tym szeregu „milionerów polskiej fonografii" znajdują się kolejno: Czesław Niemen (1.328 mln sprzedanych płyt za 73,670 mln zł), Sława Przybylska (1.317 mln sprzedanych płyt za 61,638 mln zł) i — aż nie do wiary! — Tercet Egzotyczny (1.033 mln sprzedanych płyt za 55,214 mln zł).

Ponieważ powyższe dane pochodzą sprzed roku, bo nowego zbilansowania jeszcze nie podano, warto w tym miejscu nadmienić, iż na dwóch pierwszych pozycjach na pewno nie zajdą zmiany, gdyż w ubiegłym roku spośród płyt z zakresu muzyki rozrywkowej jedynymi z najlepiej — oczywiście, poza wszelką konkurencją pozostała licencyjna płyta grupy „ABBA" — rozchodzących się krążków były longplaye lidera powyższej listy — „Czerwonych Gitar", a przede wszystkim „Rytm ziemi" (Muza SXL 1106), a i ostatnie (głównie „Jubileusz" — Muza SXL 100) nagrania Ireny Santor cieszą się powodzeniem.

Przytaczając liczby nie miałem zamiaru niczego sugerować, ani wyciągać wniosków. Chodziło mi raczej — poza, rzecz jasna, informacją — o udowodnienie, że nawet nasza jakże nieporadna fonografia posiada milionowe obroty i że w każdej chwili — jedynie z zyskiem dla siebie, mogłaby „rozkręcić" naprawdę wielki interes.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

UKWIAŁY

Spotkałem Pana, który szczekał na własnego Psa.

W dzieciństwie zasłaniałem palcem słońce. Jednym palcem całe słońce. Miało się tę odwagę.

Są ludzie tak smutni, że śmiech człowieka ogarnia.

Spadająca gwiazda: „W kogo by tu trafić?"

Jeśli do Bram Raju stoją też w kolejce — znak nieomylny, że tam są już nasi.

Foto: Archiwum

POWIĘKSZENIA

PRODUCENCI „CEGIEŁ"

Przed wielu laty rzeczownik „cegła" zyskał drugie znaczenie. Tak bowiem zaczęto mówić na książki zalegające księgarnie i magazyny, książki, których nikt nie chciał kupować.

Oczywiście i teraz zdarzają się księgarskie cegły — częściej jednak książki idą spod lady, bo chętnych jest więcej niż wydawca może zapewnić. Dziwne są zatem partackie praktyki wielkich drukarni, produkujących klasyczne „cegły".

Ostatnio wydano „Dekameron". Wiadomo, że to sławne dzieło nie zagrzeje długo miejsca na półkach. Dlatego też ustalono wysoki 100-tysięczny nakład, a rzecz całą dano do produkcji Łódzkiej Drukarni Dziełowej.

No i stało się! Niedawno oglądałem kolejkę nabywców „Dekamerona", którzy w księgarni „Pegaz" zwracali to dzieło ŁDD. Żeby było śmieszniej drukarnia wyprodukowała parę wersji „Dekamerona". Szczególnie zwracają uwagę takie wersje jak: odwrócenie stronic „do góry nogami", powtórzenie kolejnych arkuszy, nierówna paginacja... Podobno równie powszechna jest wersja książki z pokaźną ilością pustych kartek.

Tak więc typowy bestseller księgarski, który mógł wydawcom przynieść zysk — przyniósł tylko złą sławę drukarni.

Spójrzmy jednak poważnie. W całym kraju dba się o maksymalną oszczędność papieru, którego ceny rosną na światowych rynkach i którego nie ma u nas za wiele. W całym kraju przedsiębiorstwa szukają rezerw. A tutaj w Łódzkiej Drukarni Dziełowej puszcza się na rynek wielki 100-tysięczny nakład, którego poważny procent będzie musiał wrócić na przemiał. Jeśli więc już ŁDD musi produkować „cegły" niech się przekwalifikuje na produkcję z autentycznej gliny.

KOMEDIA OMYŁEK

Wszystko się pokręciło w „powiększeniowej" notatce sprzed trzech tygodni o decyzjach rektorów. A rzecz — po dokładnym zbadaniu — wyglądała w ten sposób.

Prof. H. Jankowski pisał w prasie o tym, że w Krakowskiej Akademii Medycznej rektor wydał zarządzenie, aby studenci opiekowali się chorymi rencistami. Prof. Jankowski się pomylił, bo nie było żadnej decyzji rektora w tej sprawie, ale takie zobowiązanie podjęła sama młodzież.

Z kolei Jerzy Milewski w „Życiu Literackim" polemizując z artykułem prof. Jankowskiego pomylił krakowską AM z... łódzką. Za artykułem Milewskiego powtórzyły tę historię „Odgłosy".

Żeby tej komedii (tragedii?) omyłek nie było dość, my z kolei pomyliliśmy na dodatek Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Słupsku (o niej również pisał Milewski) z WSP w Opolu.

Jak wynika zresztą z oświadczenia rektora WSP w Słupsku (patrz „Życie Literackie" z dnia 15 lutego br.) — nie było na tej uczelni żadnej decyzji władz w sprawie obowiązkowej przynależności do ZHP.

Reasumując: dwaj publicyści wymyślili sobie n i e i s t n i e j ą c y problem. I chciaż „Powiększenia" będące żartobliwą rubryczką bazującą na prasie krajowej, nie mogą za tę komedię omyłek ponosić odpowiedzialności — czujemy się w obowiązku sprostować.

Otóż ani w Łodzi, ani w Krakowie, ani w Słupsku, ani w Opolu — nie było żadnych decyzji rektorskich w kwestii przymuszania studentów do przynależności związkowej i świadczenia pielęgniarskich usług na rzecz ludności.

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina..."
K. I. G.

PŁACZ DUCHA.

W nowym mieszkaniu spółdzielczym ob. J. M. z Wielunia, coś ciągle szlochało w kaloryferach. Po wnikliwym zbadaniu urządzeń grzejnych okazało się, iż sprawcą szlochu był Duch Naszych Czasów. Duchowi Naszych Czasów smutno było w gorącym i wilgotnym środowisku oraz przygnębiały go suszone na kaloryferze skarpetki. Ob. J.M. zaprzestał prania skarpetek a rozpoczął natomiast opowiadać Duchowi oglądany aktualnie program TV. No i w kaloryferach już nic nie płacze, tylko słychać ciche stękanie.

SERDECZNE GESTY.

Miłą przygodę przeżyła w Rzymie przebywająca tam wycieczka pracowników Spółdzielni Rzemieślników „Skóroguma", ze swoim Prezesem na czele. Przy budynku z dużą kopułą wycieczka spotkała znaną seksgwiazdę filmową Silvanę znad Padu. Prezes Spółdzielni spontanicznie podarował gwieździe serduszko ze skórogumy ze złotym napisem „S. R. Skóroguma". Wzruszona tym gestem gwiazda pohuśtała każdego ze spółdzielców na swoich wspaniałych rzęsach a Prezesa pokołysała przez chwilę na łonie.

BOHATER KULINARNY.

Dla widzów urodzonych pod znakiem Ryb szykuje się ciekawy film historyczny o Janku Tranku, który już w średniowieczu zachęcał włościan do konsumpcji jaj rybich czyli tzw. kawioru. Prześladowany przez dostojników świeckich i kościelnych, Janek Tranek nie ugiął się, wywołując swoją działalnością uśmiech na niejednej smutnej chłopskiej twarzy. Należy dodać, iż Janek Tranek nawet pozbawiony przez zawistnego ochmistrza królewskiego zmysłu smaku (przez obcięcie języka), potrafił jeszcze skomponować składniki konserwy, słusznie zwanej do naszych czasów „Przysmakiem śniadaniowym".

ANDRZEJ CZEKALSKI

MICHAŁ BOROŃSKI

IKS UBRANY NA SZARO

Po co masz otwierać oczy!
— W doskonale płytkiej toni
Nic cię pewnie nie zaskoczy,
Ty za premią musisz gonić!

Bo samochód, bo mieszkanie,
Włochy, antyk itd.
Co się stało, nie odstanie,
Wszystko ułożyło się...

Cóż ci to, że świat jak mama
Wciska w rączki różne cacka,
Że się radość pcha w nie sama.
— Po cóż spleenu śliska macka...

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 388, R-15. Nr indeksu 26762.